



Barbara Hannay



Nauczycielka tańca

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Stojąc przed lustrem w domu, który niedawno odziedziczyła, Sally skrzywiła się z niezadowoleniem. Tak wiele zależy od dzisiejszej rozmowy kwalifikacyjnej. Jeśli wkrótce nie znajdzie pracy, nie będzie mogła zostać w tym cudownym starym domu, do którego uwielbiała przyjeżdżać, odkąd skończyła sześć lat.

Obróciła się w prawo, w lewo. Z każdą sekundą nachodziły ją coraz większe wątpliwości. Sądziła, że wie, jak ubrać się na rozmowę w sprawie pracy, ale... Czy patrząc na swoje odbicie w lustrze, nie powinna rozpoznać siebie? Co jest nie tak?

Obudziła się o świcie, wyspana i podniecona. Biorąc prysznic, śpiewała, a potem w jasnej słonecznej kuchni zjadła jogurt ze świeżymi owocami, następnie pobiegła do sypialni, by się ubrać.

Bajońsko droga granatowa suknia z wełny merynosowej, z białym kołnierzykiem pod szyją, lekko rozkloszowana, leżała jak marzenie. Sally specjalnie szukała czegoś prostego, skromnego, wychodząc z założenia, że strój świadczy o człowieku. Strój i fryzura. Dlatego starannie upięła swoje niesforne włosy w ciasny kok.

Kiedy cofnęła się od lustra, aby ocenić efekt końcowy, zobaczyła, że wygląda równie poważnie i groźnie jak nauczycielka, która uczyła ją w trzeciej klasie i którą pamiętała do dziś.

Dziwne. W sklepie była zachwycona tą suknią, ekspedientka nie szczędziła jej komplementów, a w domu... w domu przed lustrem stał chudzielec.

Starsi bracia zawsze sobie żartowali, że taka z niej tyczka. Nie przejmowała się ich uwagami. W dzinsach, z których wyrosła, w bawełnianych koszulkach i trampkach ganiała po rodzinnej farmie, jeździła konno, na skuterze.

Dziś, w wieku dwudziestu trzech lat, u progu życia w wielkim mieście, marzyła, aby nieco bardziej wyeksponować swoje kształty. Ciekawe, co by Chloe powiedziała o granatowej sukni? Jej chrzestna miała niesamowite wyczucie stylu. Była ciepłą wrażliwą osobą, która umiała poprawić Sally humor.

Tyle że nie żyła. Z trudem hamując łzy - czerwone oczy w tak ważnym dniu byłyby całkiem nie na miejscu - Sally skupiła się na włosach. Może tu tkwi problem? Może one nadają jej zbyt surowy wygląd?

Starła się o pracę recepcjonistki w Blackcorp Mining, firmie doradczej związanej z przemysłem wydobywczym. Recepcjonistka powinna być osobą sprawną, kompetentną, ale również przyjaźnie nastawioną do świata.

Sally spełniała te wymagania. Lubiła ludzi, rozmowy z nimi; od dziecka marzyła o pracy, w której nie musiałaby siedzieć cicho za biurkiem. Teraz jednak, kiedy ćwiczyła przed lustrem uśmiech, wciąż wyglądała jak wiedźma z bajki dla dzieci.

Nie, kok stanowczo nie pasuje. Zaczęła pośpiesznie wyciągać z włosów spinki. Czas uciekał, wsuwki i szpilki spadały na lśniąca drewnianą toaletkę, na pokrytą dywanem podłogę, a blond loki wyskakiwały z uwięzi.

Wtem rozległ się dzwonek do drzwi.

Nie! Nie teraz! W poniedziałek, o ósmej rano? Kto to może być? Nie chcąc tracić cennego czasu na zbieganie po schodach, Sally podeszła do okna, które znajdowało się nad wejściem, i odsunęła na bok zasłonę.

Ujrzała Annę, swoją bratową, która trzymając na rękach malutką Rose, ponownie nacisnęła dzwonek.

- Jestem na górze!

Anna uniosła przeraźliwie bladą twarz. Pierwsza myśl, jaka przyszła Sally do głowy, to że na platformie wiertniczej, na której pracował jej brat, zdarzył się wypadek. Bez słowa opuściła zasłonę i zapominając o problemach z fryzurą, rzuciła się pędem na dół.

- Co się stało? - zawołała, otwierając szeroko drzwi. - Czy Steve...?

- Nie, ze Steve'em wszystko w porządku. Chodzi o Olivera. Ma straszny atak astmy.

Dopiero w tym momencie Sally spostrzegła zaparkowany przed bramą niebieski samochód, a w nim wystraszoną buzię trzyletniego chłopczyka. Nawet z tej odległości widać było, że malec ma trudności z oddychaniem.

- Dzwoniłam do lekarza - kontynuowała Anna. - Kazał mi natychmiast jechać do szpitala.

- Ojej, biedactwo. Mogę jakoś pomóc?

- Popilnujesz Rose? - Mówiąc to, Anna podała szwagierce córkę. - Oliver jest przerażony. Nie wiem, które z nas bardziej: ja czy on. Gdybym jeszcze musiała zajmować się Rose...

Sally zamierzała powiedzieć: „Właśnie idę na rozmowę kwalifikacyjną”, ale ugryzła się w język. Anna miała dość problemów na głowie.

- Wiedziałam, że nie odmówisz. - Nie czekając na reakcję Sally, Anna zsunęła z ramienia dużą czerwoną torbę i postawiła ją na podłodze. - Tu jest wszystko, co może być małej potrzebne.

Sally popatrzyła na swoją jasnowłosą piętnastomiesięczną bratanicę i westchnęła w duchu. Zależało jej na tym, by wypaść dobrze podczas rozmowy. Stos niezapłaconych rachunków rósł w lawinowym tempie.

- Jesteś kochana. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że mieszkasz tak blisko. - Anna zeszła po trzech schodkach i nagle przystanąła. - Boże, coś ty zrobiła z włosami?

Sally roześmiała się nerwowo. Połowa włosów opadała jej na ramiona, połowa była upięta w kok.

- To taki eksperyment. Sprawdzalam, jak mi w innej fryzurze.

Logan Black siedział w swoim gabinecie, z którego rozciągał się widok na lśniącą w słońcu zatokę Port Jackson, i rozmawiał przez telefon.

- Przykro mi, że muszę cię rozczarować, Charles, ale propozycja, o której...

Urwał w pół zdania. Zazwyczaj nic nie rozpraszało jego uwagi, kiedy prowadził rozmowy służbowe, ale dziś mógłby przysiąc, że spod jego biurka dochodzi chichot.

Nie, to niemożliwe.

- A więc propozycja... - Znów urwał.

Tym razem miał wrażenie, że ktoś lub coś ciągnie go za sznurowadło.

Ki diabeł? Obracając się na skórzanym fotelu, zajrzał pod ogromne biurko z drzewa wiśniowego, a na widok radośnie uśmiechniętego dziecka niemal wypuścił z ręki słuchawkę. Maluch z psotną miną ścisnął w pulchnej łapce sznurowadło od buta.

Logan zaklął pod nosem.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Słucham? - Na drugim końcu linii rozległ się zniecierpliwiony głos prezesa jednej z największych australijskich spółek górniczych.

- Przepraszam cię na moment, Charles.

Logan utkwiał wzrok w intruzie. Jakim cudem się tu znalazł? W gabinecie szefa Blackcorp Mining Consultancies? To jakiś absurd. Żeby się tu dostać, należało przejść przez pokój sekretarki. Czyżby dzieciak zakradł się na czworaka? Czy może...

Zakrywszy ręką mikrofon, Logan wcisnął przycisk łączący go z sekretarką.

- Mario! - ryknął.

Nikt się nie odezwał, nikt się nie pojawił w drzwiach. W dodatku urwisowi pod biurkiem znudziła się zabawa sznurowadłem, bo chwytając lepкими paluszkami spodnie od drogiego garnituru, rozpoczął wędrówkę po nodze Logana.

- Siad! - rozkazał Logan takim tonem, jakby wydawał polecenie rozbrykanemu psiakowi.

- Logan, co się, do cholery, dzieje? - zagrzemiał w słuchawce głos Charlesa Holmesa.

- Wybacz, Charles... - Spoglądając z przerażeniem na malucha, Logan odchrząknął. Gdzie się podziewa Maria? - Mam tu mały kryzys. Słuchaj, prześlę ci moje sugestie, a potem zastanowimy się nad twoją propozycją.

Odłożył słuchawkę. Dziecko usiłowało wgramolić mu się na kolana. Tak, to zdecydowanie jest dziewczynka. Ma ogromne, niemal czarne oczy, lśniące złociste włosy i delikatną skórę. Wyglądała niewinnie jak aniołek. Miała na sobie różową sukienkę, skórzane sandały, czyste białe skarpetki. Sprawiała wrażenie zadbanego dziecka, o które matka się troszczy. Dziś jednak troskliwa matka najwyraźniej zapomniała o swojej córce.

- Gdzie są twoi rodzice? - zapytał Logan.

- Huśtu-huśtu! - zażądała dziewczynka, obejmując jego nogę.

- Nie będzie żadnego huśtu-huśtu. - Schyliwszy się, Logan podniósł znajkę, zanim ta wgramoliła się wyżej, i posadził ją na dywanie. - Nie mam czasu na huśtanie. Musimy znaleźć twoich rodziców.

Ponownie wcisnął przycisk na biurku. Nie doczekawszy się odpowiedzi, podszedł do drzwi. Biurko sekretarki było puste. Hm, w takim razie zadzwoni do recepcji. Na pewno ktoś będzie wiedział, czyje to dziecko.

Za plecami rozległ się chichot.

Dziewczynka znów weszła pod biurko. Z szelmowskim uśmiechem wysunęła główkę, jakby bawili się w chowanego. Zrobiło mu się ciepło na sercu. Ta mała jest uroczą. Patrząc na nią, pomyślał o swoich siostrzeńcach. Powinien częściej odwiedzać Carissę.

Z błogiego nastroju wyrwał go widok pulchnej rączki sięgającej po zwisający kabel od komputera.

- Nie, mała! Nie!

Pięć lat temu dumny był ze swojego refleksu, dziś jednak, kiedy rzucił się ślizgiem po dywanie, wiedział, że nie zdąży.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rozmowa kwalifikacyjna była całkiem przyjemna. Janet Keaton, która zajmowała się w Blackcorp przyjęciami do pracy, okazała się niezwykle wyrozumiała, kiedy Sally zadzwoniła spytać, czy możliwe byłoby przełożenie terminu rozmowy.

- Niestety, muszę dziś wszystko zakończyć - rzekła kobieta. - Ale niech pani przyjedzie z bratanicą. Może mała posiedzi cicho w kącie, a my porozmawiamy?

- Nie mogę za nią ręczyć, ale wezmę torbę zabawek i jej ulubione książeczki do kolorowania.

Sally, z burzą niesfornych loków na głowie, dotarła na miejsce punktualnie. Posadziła Rose w kącie pokoju. Dziewczynka skupiła się na zabawkach, a Sally na rozmowie z Janet Keaton.

Mówiła o swoim dzieciństwie spędzonym w Tarra-Binyi, o szkole z internatem i kursie komputerowym, na który zapisała się po maturze. Wspomniała, że podczas letnich wakacji pracowała w galerii sztuki znajdującej się w dzielnicy Potts Point. Tak, galeria należała do Chloe Porter, osoby dobrze znanej w miejscowych kręgach sztuki. Wyjaśniła, że Chloe była jej matką chrzestną i zostawiła jej w spadku swój dom.

- Nie żal pani opuszczać farmę, żeby zamieszkać w Sydney?

Sally już chciała powiedzieć, że nie mogła dłużej wytrzymać z nadopiekuńczą rodziną i postanowiła udowodnić wszystkim, iż poradzi sobie sama, ale w porę ugryzła się w język. Taka odpowiedź niekoniecznie musi spodobać się jej rozmówczyni.

- Zawsze mnie tu ciągnęło - odparła, co zresztą było zgodne z prawdą. - Letnie wakacje spędzałam u Chloe. Uwielbiam Sydney, to takie kosmopolityczne miasto.

- Praca w Blackcorp różni się od pracy w galerii sztuki - oznajmiła Janet. - Co pani wie o naszej firmie i w ogóle o przemyśle wydobywczym?

Sally wzięła głęboki oddech. Och, jak dobrze, że zerknęła na stronę Blackcorp Mining w internecie.

Odpowiadając na pytanie, przy okazji napomknęła, że dwaj jej bracia pracują w przemyśle wydobywczym, jeden w Queenslandzie, drugi na platformie wiertniczej u wybrzeży Australii Zachodniej.

Janet pokiwała głową.

- Głównym odbiorcą są obecnie Chiny - ciągnęła Sally. - Przypuszczam, że Blackcorp wskazuje najlepsze rozwiązania różnym kooperantom...

Wkrótce później zamilkła, wyczerpawszy swój skromny zasób wiedzy. Była pewna, że źle wypadła, ale Janet uśmiechnęła się zachęcająco i wręczyła jej kwestionariusz.

- To rodzaj testu psychologicznego. Przydaje się do ćwiczeń zespołowych, które czasem tu prowadzę.

Ćwiczenia zespołowe? Coś w sam raz dla mnie, pomyślała Sally. Uwielbiała takie rzeczy.

- Proszę wybrać odpowiedzi, które wydają się pani właściwsze.

Sally rzuciła okiem na pierwsze pytania.

Lubisz być w centrum uwagi. Tak? Nie? Bardziej kierujesz się rozumem niż emocjami. Tak? Nie?

Rzadko się denerwujesz? Tak? Nie?

- O Boże! - zawołała nagle Janet. - Gdzie mała?

Sally zerknęła w kąt na porzucone zabawki, potem rozejrzała się po pokoju. Drzwi były uchylone, dziecka ani śladu. Poderwała się na równe nogi i wybiegła na korytarz. Janet za nią.

- Przepraszam. Bawiła się tak cichutko, że całkiem o niej zapomniałam.

Janet potrząsnęła głową.

- Nie denerwuj się, musi być gdzieś w pobliżu. Do windy sama nie weszła. Sprawdź pokoje po prawej, ja sprawdzę po lewej.

- Dziękuję - szepnęła Sally.

Drżała na całym ciele. Jak mogła zapomnieć o Rose? Powinna była darować sobie dzisiejszą rozmowę kwalifikacyjną. Dziecko jest ważniejsze od pracy. Co to za ciotka, która gubi bratanicę na dwudziestym siódmym piętrze wieżowca?

Pierwsze drzwi na prawo zdobила mosiężna tabliczka z napisem „Księgowość”. Sally uniosła rękę, zamierzając zapukać, kiedy nagle na końcu korytarza spostrzegła wysoką postać. A potem mignęły jej złote włoski. Obróciła się.

Rose? Na rękach mężczyzny?

I to jakiego! Sally już miała biec do niego z wyrazem wdzięczności na twarzy, ale stanęła jak wryta. Wysoki barczysty brunet ruszył w jej stronę, trzymając Rose przed sobą, jakby to był worek z odpadami.

Janet wydała z siebie cichy jęk.

Sally nie spuszczała z mężczyzny oczu. Groźny mars na czole, ciemne gęste włosy, na policzkach zarost, choć było dopiero południe, świdrujący wzrok... Przeszył ją dreszcz.

Z trudem powstrzymała falę nieprzyjemnych wspomnień. Tamte dni, kiedy każdy obcy mężczyzna wzbudzał w niej strach, należały do przeszłości.

Uśmiechnęła się przyjaźnie. W doskonale skrojonym ciemnym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i krawacie w granatowo-srebrne paseczki mężczyzna sprawiał wrażenie człowieka pewnego siebie, posiadającego władzę. W jego silnych rękach Rose była taka krucha i mała.

Sally wyciągnęła ramiona. Gdyby nie miała doświadczenia w łapaniu piłek rzuconych przez starszych braci pewnie upuściłaby biedne dziecko.

- Dziękuję - powiedziała do naburmuszonego mężczyzny. - Bardzo panu dziękuję. Właśnie zamierzałyśmy rozpocząć akcję poszukiwawczą.

- Zawędrowała do twojego gabinetu? - spytała Janet. - Aż tak daleko nam uciekła?

- Znalazłem ją pod biurkiem. Co tu się, do licha, dzieje?

- To moja wina - wtrąciła pośpiesznie Sally. - W ostatniej chwili wydarzył się mały kryzys rodzinny i musiałam zabrać z sobą Rose. Najmocniej pana przepraszam.

- Przynajmniej dziewczynka jest za mała, aby narobić jakichkolwiek szkód - oznajmiła Janet Keaton.

- Za mała? Rozłączyła mi komputer. Straciłem dzisiejszą pracę. Przyślij kogoś z działu technicznego; może uda mu się coś odzyskać?

Sally zmarszczyła czoło.

- To pan nie zapisywał...

- Sally - Janet weszła jej w słowo - pozwól, że ci przedstawię prezesa firmy Blackcorp, pana Logana Blacka.

Sally miała ochotę zapaść się pod ziemię. Brawo, kretynko. Czuła się jak płotka, która wystawia język rekinowi. Uśmiech zadrżał na jej wargach.

- Miło mi pana poznać, panie Black.

- Logan, to jest Sally Finch; stara się o posadę recepcjonistki.

Uścisknąwszy wyciągniętą na powitanie dłoń, Logan Black uniósł brwi i zmierzył Sally lekko pogardliwym wzrokiem. Nie odezwała się. Chciała powiedzieć, jak bardzo pragnie pracować w Blackcorp, ale powstrzymał ją grymas niezadowolenia na ustach mężczyzny i ostrzegawcze spojrzenie Janet.

Nagle Rose, mrużąc cichutko pod nosem, potarła oczy. Zbliżała się pora drzemki. Sally pocałowała bratanicę w policzek i przytuliła ją do piersi.

Mars na czole Blacka znikł. Jego spojrzenie złagodniało. Może, przemknęło Sally przez myśl, facet wcale nie jest taki zimny, za jakiego próbuje uchodzić.

Po chwili skinął na pożegnanie głową i oddalił się korytarzem. Janet zerknęła na zegarek.

- Przykro mi, muszę wracać do swoich obowiązków.

- Jeszcze nie skończyłam testu psychologicznego.

- Nie szkodzi. Później go dokończysz. To znaczy, jeśli zostaniesz przyjęta.

Jeśli zostaniesz przyjęta...

- Za kilka dni zapadnie ostateczna decyzja - dodała z uśmiechem Janet.

Sally z ciężkim sercem zebrała do torby zabawki Rose i pożegnała się. Nie bardzo liczyła na sukces. Zawsze miała doskonałą intuicję; wiedziała, że rozmowa kwalifikacyjna przebiega świetnie. Ale potem pojawił się Logan Black z małą Rose na ręku...

Późnym popołudniem Logan zajrzał do gabinetu Janet Keaton. Siedziała przy biurku pochłonięta pracą, ale na widok szefa uśmiechnęła się ciepło.

- Skończyłaś rozmowy?

- Tak.

- Mam nadzieję, że wśród kandydatek nie było więcej bezczelnych samotnych matek?

Janet zmrużyła oczy.

- Bezczelnych? Nie wiem, o kim mówisz.

- O tej blondynce z dzieciakiem.

- Sally Finch?

Skinął głową. Miał okropną pamięć do nazwisk, ale to akurat zapamiętał.

- Moim zdaniem Sally cechuje pewność siebie, nie tupet. Poza tym to nie było jej dziecko.

- Nie?

- Nie. - Janet wzięła głęboki oddech, zamierzając wyjaśnić, co się stało, ale przyrzawszy się szefowi, zmieniła zdanie. - O co chodzi, Logan? To nie w twoim stylu interesować się sprawami kadrowymi.

- Jak to nie w moim? Chyba mam prawo wiedzieć, kto u mnie pracuje. - Potarł ręką szyję.

- Od czterech lat kieruję tym działem. Nigdy dotąd nie kwestionowałeś moich decyzji.

Miała rację. Przy wyborze pracowników na kierownicze stanowiska zawsze się z nim konsultowała, ale innych wybierała sama, a on akceptował jej decyzje.

- Nie powinieneś oceniać Sally zbyt surowo - kontynuowała. - Matka dziecka musiała pilnie pojechać do szpitala. Sally po prostu zaopiekowała się małą.

Logan zacisnął zęby. Po jakie licho zaczął tę rozmowę? Cały dzień rozmyślał o dziewczynie z burzą jasnych loków na głowie. Musiały pięknie wyglądać w blasku promieni słonecznych. Boże, chyba mu odbiło! Sally jak-jej-tam nawet nie była w jego typie. I naprawdę nie robiło mu żadnej różnicy, czy dostanie tę posadę, czy nie.

- W porządku, Janet. Sprawę wakatu w recepcji zostawiam tobie.

- Dziękuję, szefie. Logan! - zawołała, kiedy zamierzał wrócić do swoich obowiązków. - Bądź tak miły i wypełnij przy okazji test psychologiczny. Przyda się podczas następnych warsztatów poświęconych budowaniu ducha zespołowego.

- Ducha? To mnie nie dotyczy. Zresztą nie mam czasu na takie zabawy.

Janet wstała zza biurka i potrząsnęła stertą papierów.

- Obiecałeś mi poparcie.

- Ale ja nie... To nie znaczy, że...

- To znaczy, że weźmiesz udział w warsztatach. Przysiękłeś.

Telefon urywał się od rana. Ilekroć ciszę przerywał głośny terkot, Sally czuła nieprzyjemny ucisk w brzuchu. Może to ktoś z Blackcorp?

Próbowała nie myśleć o pracy i skupić się na zabawie z Rose, która została u niej na noc. Korzystając ze słonecznej pogody, wyszła z małą na znajdujące się za kuchnią patio i postawiła przed nią wielkie kartonowe pudło. Dorastając na australijskim pustkowiu, przekonała się, że dzieci nie potrzebują żadnych wymyślnych zabawek.

Rose była zachwycona: to wciskała się do pudła, to z niego wychodziła, to upychała w nim pluszowego misia i zajączka, a po chwili wyciągała z piskiem zwierzaki. Przyglądając się jej, Sally pokręciła smętnie głową.

- Dlaczego wczoraj nie mogłaś tak się bawić, co?

Rose ponownie zapiszczała z radości.

Podczas gdy mała się bawiła, Sally przejrzała sobotnio-niedzielne wydanie gazety, zaznaczając ogłoszenia o pracę. Następnie postanowiła rozładować nadmiar energii w miniaturowym ogródku: wyrywała chwasty, przycinała krzewy, przywiązywała pędy winorośli do drewnianej kraty. Kiedy dzwonił telefon, ściągała rękawice ogrodnicze i ile sił w nogach gnała do kuchni.

Pierwszy telefon był od Anny: Oliver czuje się znacznie lepiej. Sally zapewniła bratową, że Rose też ma się świetnie, i zaprosiła ją na lunch: przecież nie może siedzieć w szpitalu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Anna z przyjemnością przyjęła zaproszenie.

Dwa kolejne telefony były do Chloe. Sally przekazała dzwoniącym smutną wiadomość o śmierci swojej chrzestnej. Potem zadzwoniła matka Sally z Tarra-Binyi sprawdzić, czy córka dobrze się odżywia. Chyba nie jada tych strasznych zapiekaneek, które można kupić na każdym rogu? Sally, która zdążyła przygotować sałatkę nicejską na lunch z Anną, zapewniła matkę, że nie grozi jej niedożywienie. Odłożywszy słuchawkę, pomyślała sobie jednak, że to się może zmienić, jeśli wkrótce nie znajdzie pracy.

Skrzywiła się na wspomnienie swojej wczorajszej wizyty w siedzibie Blackcorp. Powinna była ugryźć się w język. Ale nie, koniecznie chciała udowodnić sobie, że seksowni faceci już nie wzbudzają w niej strachu.

Niestety swoim tupetem zirytowała zarówno swojego potencjalnego szefa, jak i przychylnie do niej nastawioną Janet Keaton. A przecież pierwsze wrażenie jest najważniejsze.

Psiakość, naprawdę zależało jej na tej pracy. Chciała pokazać rodzinie, że nie potrzebuje niczyjej pomocy; że potrafi radzić sobie sama. Aby sobie jednak radzić, potrzebowała pieniędzy. Pensja z Blackcorp stanowiłaby doskonałe źródło utrzymania.

Wczoraj, wchodząc do budynku przez duże szklane drzwi, Sally zobaczyła nowocześnie urządzonej recepcję. Wyobraziła sobie, jak stoi za ladą, kwituje odbiór ważnych przesyłek, przekazuje pocztę do odpowiednich działów, udziela informacji interesantom, stopniowo poznaje swoich współpracowników, wita ich, gdy przychodzą rano do pracy.

Tak bardzo pragnęła, aby jej wizja się urzeczywistniła, że odłożyła na bok gazetę z ogłoszeniami. Nie miała ochoty dzwonić nigdzie indziej. Ale wiedziała, że po południu, kiedy odda Rose matce, będzie musiała wziąć się w garść i ponownie rozpocząć poszukiwania.

Jadła z Anną lunch na patio, kiedy znów zadzwonił telefon. Czując ucisk w brzuchu, wbiegła do środka i lekko zziębiona podniosła słuchawkę.

- Mieszkanie Sally Finch.

- Cześć, Sally. Tu Janet Keaton z firmy Blackcorp.

Sally poczuła na plecach dreszcz.

- Janet? - zapiszczała. - Jak się masz? - Boże, co się z nią dzieje? Nigdy w życiu się aż tak nie denerwowała.

- Doskonale, dziękuję. I mam dla ciebie dobre wiadomości.

- Naprawdę?

- Tak. Chcę ci zaproponować posadę recepcjonistki.

Sally zamilkła; nie była w stanie wydusić słowa.

- Zakładam, że nadal interesuje cię praca w Blackcorp? - spytała po dłuższej chwili Janet.

- Och, tak! Bardzo. To wspaniała wiadomość. Jestem zachwycona.

„Oszołomiona” byłoby lepszym słowem.

Usiłując się skupić, Sally wysłuchiwała informacji o wstępnych zarobkach, o obowiązkowym funduszu emerytalnym, o spotkaniu wprowadzającym. Wreszcie, na drżących nogach, wróciła do stolika.

- Co? Jakaś zła wiadomość? - zaniepokoiła się Anna.

- Wprost przeciwnie. - Sally roześmiała się nerwowo. - Dostałam pracę.

- To wspaniale. Nawet nie wiedziałam, że składałaś gdzieś ofertę.

- Tak. Do Blackcorp.

- Ho, ho! A kiedy...?

- Wczoraj byłam na rozmowie kwalifikacyjnej.

Anna wytrzeszczyła oczy.

- Przecież cały dzień opiekowałaś się Rose.

- Wiem. Niesamowite, prawda? Nie mogli przesunąć terminu przesłuchania, więc pozwolili mi zabrać małą z sobą. Nie masz mi tego za złe?

- Oczywiście, że nie. - Anna z dumą pogładziła córeczkę po główce. - Grzeczna byłaś, żabciu? Nie przeszkadzałaś cioci?

- Słówkiem się nie odezwała - oznajmiła zgodnie z prawdą Sally.

ROZDZIAŁ TRZECI

W poniedziałek rano zaczęła pracę; do południa wiedziała, że dokonała słusznego wyboru. Większość pracowników zachowywała się przyjaźnie, niektórzy specjalnie podchodzili do jej stanowiska i przedstawiali się, a dopiero później kierowali się do windy.

Centrala telefoniczna była łatwa w obsłudze; nazwiska pracowników widniały obok, wystarczyło przełączyć rozmowę. Po odebraniu kilku pierwszych telefonów Sally poczuła, jak opuszcza ją napięcie.

Do budynku wszedł Logan Black, elegancki, ogolony, piekielnie przystojny, z teczką w jednej ręce, komórką w drugiej. Minał recepcję, po czym nagle przystanął i marszcząc czoło, jakby nad czymś intensywnie myślał, wbił wzrok w Sally.

Przełknęła ślinę. Gardło miała wyschnięte na wiór. Po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach czoło Blacka się wygładziło, oczy zalśniły, a na ustach pojawił się szeroki uśmiech. Niestety, trwało to krótko. Po chwili mars powrócił.

- Dzień dobry, panno Hinch. - Skinąwszy głową, Black ruszył przed siebie.

Panno Hinch? Sally otworzyła usta, zamierzając grzecznie wyjaśnić, że nazywa się Finch, nie Hinch, ale przypomniała sobie, co ustaliła - że musi być bardziej taktowna, mniej spontaniczna - toteż przełykając dumę, uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Dzień dobry, panie Black - powiedziała do jego pleców, gdyż zdążył się oddalić.

Dziewczyno, weź się w garść, nakazała sobie w duchu, czując, jak jej serce wali. Będziesz go widywać codziennie.

Pracy było sporo, nie miała czasu się nudzić. Bez przerwy pojawiały się przesyłki, małe i duże paczki, worki z korespondencją. Przekazywała je do właściwych działów, odbierała telefony, przełączała zewnętrzne rozmowy, udzielała informacji.

W ciągu pierwszego tygodnia zaprzyjaźniła się z Kim, młodą Australijką chińskiego pochodzenia, która pracowała w księgowości, oraz z Maeve, pełną temperamentu rudowłosą dziewczyną z działu ochrony środowiska, która kiedyś mieszkała w zachodniej części Australii i знаła okolice miasteczka Tarra-Binya.

Zdarzały się chwile, kiedy Sally tęskniła za domem, za wonią eukaliptusów, za porannym śpiewem ptaków, za warkotem ojcowskiego traktora, ale umiała poskromić tę

tęsknotę, zwłaszcza że nieopodal biura znajdował się park. Wędrowała jego alejkami codziennie rano ze stacji do biura, a potem po południu z biura na stację metra. Wśród drzew zgiełk miasta stawał się przytłumiony, słychać natomiast było delikatny szum fontanny w stawie i gruchanie stad gołębi.

Po trawnikach można było swobodnie spacerować. Trzeciego dnia Sally odważyła się zdjąć buty, tak by czuć pod stopami miękkiego aksamitnego dywanu z trawy.

Mnóstwo ludzi korzystało z uroków tej oazy zieleni w centrum miasta. Zakochana para, która świata poza sobą nie widziała. Zgarbiony staruszek karmiący gołębie. Dwaj uczniacy ganiający z piłką.

Chłopcy grali w rugby ze swoim ojcem lub wujem. Sądząc po jego stroju, mężczyzna pracował w jednym z okolicznych biurów. Zdjął marynarkę i krawat, a także skarpety i buty, a nogawki spodni podwinął. Porzucone ubranie leżało na ziemi pod rozłożystym drzewem, tuż obok dwóch dziecięcych plecaków.

Wszyscy trzej z poświęceniem ślizgali się po trawie, wybuchali śmiechem, wykrzykiwali do siebie instrukcje, popisywali się. Obserwując ich, Sally pomyślała o swoich braciach, którzy uwielbiali grać w piłkę w ogrodzie...

Zaraz, zaraz...

Rany boskie! Mężczyzną z podwiniętymi nogawkami jest Logan Black. Nie od razu go rozpoznała, bo bez marynarki i z wyszczerzonymi w uśmiechu zębami nie przypominał groźnego szefa. Wyglądał wspaniale! A jak cudownie się poruszał! Z wdziękiem i harmonią cechującą najlepszych sportowców.

Nagle on też ją spostrzegł. Biegł tyłem, wpatrzony w piłkę znajdującą się wysoko w powietrzu, kiedy raptem jego wzrok padł na Sally. Ich spojrzenia się spotkały. Logan przystanął, otworzył szeroko oczy, a po chwili znów skupił się na piłce.

Minęło jednak kilka cennych sekund. Chcąc złapać piłkę, przyśpieszył kroku, wyciągając do góry ręce.

Sally zauważyła niebezpieczeństwo w tej samej sekundzie, co chłopcy.

- Wujku! Uważaj!

Za późno go ostrzegli. Chwyając piłkę, stracił równowagę i wpadł do stawu.

Sally ani chwili się nie wahała. Rzuciła się pędem w stronę wody, pamiętając kilka incydentów, kiedy jej bracia o mało nie utonęli w strumieniu nieopodal domu. Można rąbnąć głową o niewidoczny pod wodą głaz. Można zaplątać się w wodorosty. Można nie móc wypłynąć na powierzchnię.

Zanim jednak dobiegła nad brzeg, mężczyzna dźwignął się na nogi. Woda sięgała mu zaledwie do kolan. Trzymał piłkę wysoko w powietrzu. Ociekał wodą, ale stał z miną zwycięzcy, jakby liczył się wyłącznie fakt, że złapał piłkę i jej nie wypuścił. A to, że zniszczył drogi włoski garnitur? Kto by się tym przejmował?

Mężczyźni! Sally poczuła, jak serce jej wali. Naprawdę się wystraszyła, w przeciwieństwie do chłopców, którzy zaczęli skręcać się ze śmiechu. Hm, to faktycznie był komiczny widok: jej szef, po kolana w wodzie, przemoczony do nitki. Po chwili zdała sobie sprawę, że jego biała koszula lepi mu się do ciała niczym druga skóra. Równie dobrze mógłby być nagi! Widziała każdy najmniejszy szczegół jego torsu i szerokich ramion.

Oblała się rumieńcem.

- Hej, wujku, spisałeś się na medal! - zawołał, chichocząc, jeden z chłopców.

Logan uśmiechnął się wesoło i rzuciwszy piłkę do wyższego, przeniósł spojrzenie na Sally. Bez słowa wyszedł na brzeg.

- Dobrze, że nic się panu nie stało - powiedziała, chcąc przerwać ciszę. - Przez moment myślałam, że będę musiała skoczyć panu na ratunek.

Mruknął pod nosem coś, czego nie zrozumiała, po czym wolno przesunął wzrok z jej twarzy na buty, które trzymała w ręku, i niżej na bose stopy. Kąciki ust mu zadrżały, oczy zalśniły, jakby płonął w nich ogień. Sally zakręciło się w głowie.

Po chwili ogień w oczach zgasł, usta zacisnęły się. Najwyraźniej Loganowi zrobiło się głupio, że stoi mokry i niemal nagi w miejscu publicznym.

Sally, speszona, wbiła wzrok w swoje gołe stopy, w które i on się wpatrywał. Całe szczęście, że podczas weekendu zrobiła pedikiur i pomalowała paznokcie na czerwony kolor.

Logan skrzywił się. Czym prędzej włożyła buty. Nie rozumiała, dlaczego jest speszona. W końcu gołe stopy są niczym w porównaniu z lepiącą się do ciała przezroczystą

koszulą. Może chodzi o to, że wciąż nie otrząsnęła się po tamtym koszmarnym incydencie i nadal boi się mężczyzn?

W dodatku chłopcy, z którymi Logan grał w piłkę, przyglądali się jej z zaciekawieniem.

- To moi siostrzeńcy - wyjaśnił, nie podając jednak ich imion.

- Cześć, chłopaki - powiedziała lekko zdyszczanym głosem.

- Chłopcy, to jest panna... panna... - Logan z namysłem ściągnął brwi, ale jej nazwisko najwyraźniej wyleciało mu z pamięci. - Ta młoda dama pracuje w Blackcorp.

Ale pewnie już jest na wylocie, pomyślała smętnie Sally. Prześladował ją pech. Parę dni temu, pochłonięta rozmową z Janet Keaton, nie zauważyła, jak Rose uciekła z pokoju i podrałowała do gabinetu szefa. A dziś, wędrując przez park, sama niespodziewanie weszła szefowi w pole widzenia i sprawiła, że wpadł do stawu.

- Może polecę do biura i przyniosę panu ręcznik?

Potrząsnął przecząco głową.

- To miło z pani strony, ale dziękuję, nie trzeba.

Sally domyśliła się, że szef chce, aby jak najszybciej zeszła mu z oczu. W porządku, nie zamierzała wystawiać na próbę jego cierpliwości.

- No to... to ja już pójdę. Inaczej spóźnię się na pociąg.

Odprowadził ją wzrokiem. Popołudniowe słońce nadawało jej włosom cudownie złocisty blask. Stopy też miała ładne: długie, szczupłe, starannie wypielegnowane. Idąc, kołysała zmysłowo biodrami, a...

- Musimy już iść do domu?

Pytanie siostrzeńca wyrwało Logana z zadumy. Spojrzał ponownie na zegarek. Psiakość, cały ocieka wodą. W dodatku wystarczył lekki powiew wiatru, aby zadrżał z zimna. Nie było to miejsce ani pora na fantazjowanie.

Dziwne. Co go opętało? Jak można zagapić się na kogoś do tego stopnia, aby zapomnieć o Bożym świecie i wpaść do wody? Z przerażeniem uświadomił sobie, że decyzję o tym, aby przyjść z chłopcami do parku, też podjął pod wpływem nowej pracownicy.

Tamtego dnia, kiedy znalazłszy dziecko pod biurkiem, wyszedł na korytarz i zobaczył Sally, wyczuł, jak silna więź łączy tę młodą kobietę z dziewczynką. Jednocześnie

poczuł własną samotność. Nazajutrz zadzwonił do swojej siostry Carissy; wiele czasu minęło, odkąd się widzieli.

Teraz, odwożąc chłopców do domu, starał się nie myśleć o dziewczynie z recepcji.

Siostra roześmiała się, zaskoczona widokiem jego przemoczonych spodni i koszuli, po czym zaproponowała mu, by wziął gorący prysznic, a potem włożył dżinsy i T-shirt jej męża Geoffa. Namówiła go również, aby zjadł z nimi kolację. Geoff musiał zostać dłużej w pracy, więc zasiedli przy kuchennym stole w czwórkę. Carissa przygotowała pyszny makaron z kurczakiem. Logan, który zwykle spożywał posiłki w samotności, nie pamiętał, kiedy ostatni raz spędził wieczór w tak przyjaznej domowej atmosferze.

Kilkakrotnie obraz dziewczyny z parku przesunął mu się przed oczami. Ciekaw był, co Sally teraz porabia, gdzie i z kim je kolację. Szybko jednak pozbył się tych myśli. Kiedy miał ochotę na damskie towarzystwo, zwykle spotykał się z jakąś dobrze sytuowaną kobietą na kierowniczym stanowisku, która podobnie jak on wystrzegła się zaangażowania emocjonalnego.

Nie mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek szaleństwo. Zamierzał trzymać się ułożonego przez siebie pięcioletniego planu, w którym nie ma miejsca na romans z niewinnym dziewczęciem z prowincji.

Sally tłumaczyła sobie, że bez sensu jest ciągle wracanie myślami do dzisiejszego spotkania w parku. Ale to nie pomagało. Przez cały wieczór nawiedzały ją wspomnienia. Pamiętała wyraz szczęścia na twarzy Logana, kiedy grał w piłkę z siostrzeńcami, mokrą koszulę, która lepiła się do jego ciała, własne podniecenie.

Nie powinna tak reagować na widok swojego szefa. Mężczyźni raczej wzbudzali w niej strach niż zachwyt lub pożądanie, zwłaszcza po bolesnej nauczce, jaką dostała na balu w klubie tenisowym w Tarra-Binyi.

Tamtego letniego wieczoru popełniła jeden błąd: była zbyt przyjacielska, zbyt ufna, może zbyt pewna siebie. Często chadzała na wiejskie potańcówki. Dodatkową atrakcją stanowiła obecność nieznajomego o nazwisku Kyle Francis.

Kyle, wysoki, przystojny, opalony, o modnej fryzurze, miał piękne niebieskie oczy i zmysłowy uśmiech. Emanował seksapilem. Wszystkie dziewczyny chciały z nim tań-

czyć. A on skupił całą swoją uwagę na Sally; nie odstępował jej na krok. Była mile połączona jego zainteresowaniem.

Grał zespół sprowadzony specjalnie z Tamworth. Muzyka była świetna. Kyle doskonale poruszał się po parkiecie. Kiedy trzymał ją w ramionach, Sally upajała się szczęściem. Zastanawiała się później, czy przypadkiem woda kolońska, którą się skropił, nie miała na nią hipnotycznego działania.

Mimo późnej pory panował upał. Wszystkie okna i drzwi były szeroko otwarte, żeby powietrze mogło swobodnie krążyć. Goście wychodzili na zewnątrz, potem wracali do środka. Kyle pocałował Sally. Kiedy zaproponował spacer ciemną alejką wzdłuż rzeki, Sally, głucha na głos rozsądku, który ostrzegał ją przed nieznajomym, zgodziła się.

Ani razu nie miała żadnych problemów z miejscowymi chłopakami. Oczywiście paru usiłowało ją poderwać, ale sprawy nigdy nie wymknęły się jej spod kontroli. Zresztą miejscowi dobrze wiedzieli, że jeśli skrzywdzą ich siostrzyczkę, bracia Finchowie połamią im kości.

Nie przyszło Sally do głowy, że Kyle planuje ją uwieść na wyścielonym sosnowymi igłami brzegu rzeki. Że jego wdzięk i galanteria prysną jak bańka mydlana, kiedy nie dostanie tego, na czym mu zależy.

Miły beztroski wieczór wypełniony śmiechem i tańcem zamienił się w koszmar pełen bólu, strachu i przemocy. Sally wzdrygnęła się na samo wspomnienie. Wzięła kilka głębokich oddechów, zanim zdołała pozbyć się przerażających obrazów. Powtarzała sobie, że tamto to przeszłość. Teraz jest bezpieczna, nic jej nie grozi.

Z opresji wybawił ją Steve. Wyrósł jak spod ziemi. W samą porę. Wiedziała, że Kyle, który jeszcze nie zdążył jej zgwałcić, furię Steve'a zapamięta do końca życia.

Rodzina zwarła wokół niej szyki, wszyscy ją chronili, nawet na moment nie spuszczała jej z oka. Po pewnym czasie troska braci i rodziców zaczęła ją przytłaczać. Sally uciekła do Sydney, aby odzyskać niezależność.

Logan Black jest jej szefem. Nie wolno jej o tym zapominać.

Nazajutrz rano jeden z kurierów stał z łokciem opartym o blat recepcji i wypytywał Sally o jej plany na najbliższy weekend. W holu rozległ się odgłos sprężystych kroków,

które nagle ucichły. Podniósłszy wzrok, Sally ujrzała tkwiącego bez ruchu Logana Blacka. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że oblewa się rumieńcem.

- P...pan Black - wydukała, siłąc się na uśmiech. - Dzień dobry.

Wpatrywał się w nią bez słowa, z posępną miną.

- Czy mogę panu w czymś pomóc?

W milczeniu powiódł wzrokiem po kurierze, następnie popatrzył znacząco na zegar ścienny.

Kurier zrozumiał aluzję i oddalił się niezwłocznie.

- O dziesiątej spodziewam się wizyty ważnego gościa - oznajmił w końcu Logan. - Charlesa Holmesa, prezesa zarządu Minmount Mining. - Powiedział to zimnym, urzędowym tonem, jakby wczorajszy incydent w parku się nie wydarzył.

Sally uniosła głowę. Bardzo dobrze. Woląla zimnego szefa, który trzyma wszystkich na dystans, od takiego, który z każdym, a raczej z każdą, flirtuje.

- Doskonale - rzekła. - Będę go wypatrywać.

- Nie ma obawy, żeby Charles zgubił się w naszym budynku i oczywiście nie potrzebuje przepustki, ale chciałbym, żeby towarzyszyła mu pani do mojego gabinetu. Tam przejmie go moja sekretarka, Maria Paige.

- Naturalnie, panie Black. Może pan na mnie polegać.

Skinąwszy chłodno głową, wsunął kartę w elektroniczny zamek w drzwiach brojących dostępu do siedziby Blackcorp. Po chwili drzwi się otworzyły, a on wszedł do środka.

Parę minut przed dziesiątą dostarczono do recepcji wspaniały bukiet śnieżnobiałych róż. Wyobraźnia Sally natychmiast poszła w ruch. Któraś z pracownic obchodzi dziś urodziny. Kwiaty przysłał jej tajemniczy wielbiciel. Och, jaka to będzie frajda zanieść bukiet do właściwego pokoju i obserwować zdziwienie uradowanej solenizantki.

Nie mogła jednak znaleźć małej białej koperty, która bywa dołączana do kwiatów.

- Nie ma tu kartki z informacją, dla kogo jest bukiet - zwróciła się do dostawcy.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

- Jest dla pana Blacka.

- Dla pana Logana Blacka?

Młodzieniec pokiwał głową, jakby nie widział nic dziwnego w tym, że mężczyzna otrzymuje kwiaty.

- Rozumiem. - Sally uśmiechnęła się serdecznie. - Są piękne. Zaraz mu je przekażę.

Wonny delikatny zapach róż wypełnił kabinę windy. Sally zamknęła oczy i sama sobie prawiąc kazanie, wciągnęła głęboko powietrze. Trzymała w ramionach niezaprzeczalny dowód na to, że jej szef ma prywatne życie, w którym zamieszkuje bliska jego sercu kobieta. A zatem ona, Sally Finch, powinna czym prędzej przestać zawracać sobie nim głowę.

Na widok zbliżającej się Sally Maria Paige, osobista sekretarka szefa, podniosła wzrok; nawet się nie uśmiechnęła. Należała do nielicznej grupy pracowników Blackcorp, która z obojętnością powitała w biurze nową recepcjonistkę.

- A, kwiaty - mruknęła. - Bądź uprzejma wsadzić je do wazonu.

Duży, wypełniony wodą wazon czekał na skraju biurka. Sally ostrożnie umieściła w nim bukiet.

- Wiedziałaś, że nadejdą...

Maria spojrzała na nią znad okularów.

- Oczywiście. Przychodzą w każdy piątek.

- Naprawdę? Raz w tygodniu ktoś przysyła szefowi bukiet? - spytała szeptem Sally. Drzwi do gabinetu prezesa były otwarte; nie chciała, by ją usłyszał.

- Pan Black zawarł taką umowę z kwiaciarnią - wyjaśniła niecierpliwym tonem Maria. - Wychodząc w piątek z pracy, zabiera kwiaty ze sobą.

Czyli to szef jest czyimś wielbicielem, a nie obiektem czyjegoś uwielbienia.

Sally westchnęła. Życie pozabiurowe Logana Blacka jest jego prywatną sprawą. Ma prawo kupować co tydzień kwiaty dla ukochanej kobiety.

Może zadałaby niekwapiącej się do udzielania informacji Marii więcej pytań, gdyby w pokoju nie pojawił się wysoki, srebrzystowłosy mężczyzna w eleganckim ciemnym garniturze.

- Pan Holmes. - Sekretarka rozciągnęła usta w promiennym uśmiechu. - Zawiadomię szefa, że pan przyszedł. - Chwyciwszy słuchawkę, połączyła się z gabinetem Blacka.

Sally miała ochotę zapaść się pod ziemię. A więc to jest ten Charles Holmes, ważny biznesmen, którego obiecała przyprowadzić na górę. Najwyraźniej ktoś musiał wpuścić go do biura, a dalej już sam trafił.

Zastanawiała się, czy nie wymknąć się z sekretariatu, zanim jej zaniedbania i nieudolność wyjdą na jaw, ale w tym momencie rozległ się głos szefa:

- Charles, jak miło cię widzieć!

Logan Black wyłonił się z gabinetu z wyciągniętą na powitanie ręką. Sally tkwiła nieruchomo, jakby wrosła w ziemię.

- Dziękuję, panno Hinch - rzucił przez ramię, prowadząc gościa do siebie.

Nie przeszkadzało jej, że znów przekreślił jej nazwisko. Przeszkadzała świadomość, że nie wywiązała się z polecenia. Było to pierwsze, w dodatku drobne zadanie, jakie Logan jej zlecił, a ona nawaliła. Gdyby jej uwagi nie pochłonął cudowny bukiet kwiatów, pamiętałaby, że Charles Holmes ma się zjawić o dziesiątej. Gdyby wstawiła kwiaty do wazonu i nie traciła czasu na zadawanie pytań Marii, zdążyłaby w porę wrócić na dół.

- Tym razem ci się upiekło - syknęła Maria, kiedy mężczyźni znikli za drzwiami. - W przyszłości radzę ci bardziej uważać.

Wdzięczna Marii, że jej nie wsypała, oraz pełna wyrzutów sumienia, Sally pośpiesznie skierowała się do windy. Ma nauczkę. Musi w stu procentach koncentrować się na pracy. Nie na szefie.

Wczesnym popołudniem w recepcji pojawiła się Janet Keaton i wręczyła Sally kwestionariusz.

- Jak skończysz, zostaw go u mnie na biurku - poprosiła. - Przyda się podczas warsztatów, które planuję zorganizować w przyszłym tygodniu.

- Mam wziąć w nich udział?

- Oczywiście. Nowi pracownicy bywają niezwykle przydatni. Są świeży, jeszcze nie ulegli biurowej indoktrynacji. Nie martw się, Lucy z mojego działu zastąpi cię w recepcji. Zbieramy się w sali konferencyjnej we wtorek o dziewiątej rano.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy we wtorek rano weszła do sali konferencyjnej, odetchnęła z ulgą na widok uśmiechniętej twarzy Maeve. Nowa przyjaciółka pomachała do niej, a następnie klepnęła w siedzisko krzesła koło siebie.

W sali zebrali się pracownicy różnych działów i różnych szczebli, od kierowników po sekretarki. Sally była mile zaskoczona, że prawie wszystkich zna, jeśli nie z nazwiska, to przynajmniej z widzenia. Wiele osób witało ją przyjaznym skinieniem głowy.

Chwilę później Janet Keaton poprosiła o ciszę.

- Słuchajcie, chciałabym, żebyśmy przełamali lody i trochę lepiej się poznali. Przed każdym z was leży długopis i pustka plakietka. Wpiszcie na niej swoje imię i nazwisko.

Ludzie sięgnęli po długopisy. Znow rozległ się śmiech i szmer rozmów. Nagle do sali weszła wysoka władcza postać. Wszystkie głowy obróciły się w jej stronę.

- Witam, szefie. - Janet uśmiechnęła się ciepło do nachmurzonej postaci. - Cieszę się, że zgodziłeś się do nas dołączyć.

Dołączyć? Sally aż otworzyła usta.

Logan Black zajął krzesło obok Hanka Jamesa, specja od informatyki; rozpiął marynarkę, założył nogę na nogę i zmrużywszy oczy, powiódł spojrzeniem po sali.

Po plecach Sally znow przebiegł dreszcz. Zaciśnęła gniewnie usta. Ciekawe, jak długo będzie reagować w tak kretyński sposób na pojawienie się Logana Blacka?

- Szkoda - szepnęła Maeve. - Sądziłam, że dzisiejszy poranek spędzimy w miłej, beztroskiej atmosferze.

- Chyba szef nam jej nie zepsuje?

- Może nie. W sumie to całkiem sympatyczny gość. Tylko nie brata się z pospółstwem.

- Wpisz na identyfikatorze swoje imię i nazwisko - poprosiła Logana Janet. - Na wypadek, gdyby ktoś z tu obecnych nie wiedział, kim jesteś. - Roześmiała się pod nosem.

Sala jej zawtórowała.

- A teraz odwróćcie identyfikatory. Pod każdym widnieje jakieś słowo, przydomek.

- Fajnie - ucieszyła się Maeve. - No proszę. Jestem Kopciuszkiem.

- A ja Masełkiem - oznajmiła Sally.

- Dobrze. Wstańcie, krążcie po sali, szukajcie osoby, której przydomek pasuje do waszego. Na przykład jeśli ktoś jest Solniczką, to powinien znaleźć Pieprzniczkę.

- No to Kopciuszek rusza na poszukiwanie Księcia.

W sali zapanował harmider. Żartując z przydomków, ludzie „przedstawiali” się sobie i szukali swojej pary.

- Kto może być przypisany Gąsienicy? - spytała Josie, firmowa prawniczka. - Motyl?

- Może Liść? - podsunęła Sally.

Hank, dobrotliwie wyglądający informatyk w okularach korekcyjnych, był Wilkiem.

- Przypadkiem nie jesteś Czerwonym Kapturkiem? - zwrócił się do Sally.

- Nie, przykro mi.

Sally starannie omijała Logana Blacka, jednakże kątem oka cały czas widziała jego wysoką sylwetkę w eleganckim czarnym garniturze. Rozmawiał przyjaźnie z wszystkimi pracownikami. Hm, dlaczego więc do niej zawsze odnosił się z rezerwą?

Coraz więcej osób się odnajdywało. Jabłko stało obok Pomarańczy. Pan Ziemia obok pani Niebo. Romeo koło Julii. Pary były zarówno jedno, jak i dwupłciowe; żadne zasady nie obowiązywały. Książę, za którym rozglądał się Kopciuszek, okazał się przystojnym opalonym geologiem. Uszczęśliwiona Maeve mrugnęła porozumiewawczo do przyjaciółki.

Po pewnym czasie wszyscy mieli już parę. Wszyscy oprócz Sally, która stała sama jak palec, nie bardzo wiedząc, co z sobą począć.

- Nie znalazłaś swojej połówki? - spytała ją Janet.

Sally pokręciła przecząco głową.

- Chyba nie ma tu nikogo, kto pasuje do Masełka.

Zapadła pełna napięcia cisza. Sally przestąpiła nerwowo z nogi na nogę. Czyżby wszyscy obecni wiedzieli o czymś, o czym ona nie miała pojęcia?

- Jest - oznajmił za jej plecami męski głos.

Odwróciwszy się, napotkała ciemne oczy Logana Blacka. Uśmiechając się nieznacznie, pokazał jej swój identyfikator. „Rogal”, wyczytała.

- No to świetnie! - Uradowana Janet klasnęła w dłonie.

Siłą woli Sally zmusiła wargi do uśmiechu.

- A teraz każda para niech znajdzie sobie jakiś cichy kąt i usiądzie razem. Można przejść obok do stołówki. Ćwiczenie to określamy mianem „Randki w ciemno”. Macie dwadzieścia minut, aby dowiedzieć się o sobie jak najwięcej.

Zadanie było proste, wszyscy ochoczo się do niego zabrali. Jedni podchodzili do stołów, inni stawali pod oknem, Maeve ze swoim geologiem zajęli miejsce w rogu sali i szczerzyli do siebie zęby; widać było, że iskrzy między nimi.

Logan Black nie wykonał kroku, Sally też tkwiła bez ruchu na środku sali. Na szkolnych zabawach nigdy nie podpierała ściany, ale teraz wiedziała, jak te biedaczki musiały się czuć. Jeżeli Logan ma zamiar zadzierać nosa...

- Na co czekacie? - spytała Janet, poganiając ich niczym kwoka swoje małe. - Czas ucieka.

Logan podszedł do niej wolnym krokiem, pochylił się i coś szepnął na ucho. Sally domyśliła się, że nie życzy sobie być sparowanym z nową pracownicą zajmującą jedno z najniższych stanowisk w firmie.

Janet pokręciła energicznie głową.

- Nie masz racji, Logan. To doskonałe ćwiczenie, przekonasz się. Ty jesteś typem myślącego introwertyka, z kolei Sally to typ emocjonalnej ekstrawertyczki. Tworzycie idealną parę. A teraz sio. Wyobraź sobie, że spotkaliście się na randce w ciemno.

Sally uśmiechnęła się dzielnie, robiąc dobrą minę do złej gry.

- To co, siadamy?

- Tak, niech wam będzie - mruknął Logan, wskazując głową pusty stół z dwoma krzesłami. - Może tu, panno...

Sally szybko odwróciła identyfikator na stronę, na której wpisała swoje imię i nazwisko.

- Finch? Nie Hinch?

Usiedli naprzeciwko siebie. Hm, według Janet Logan Black stanowi typ racjonalisty i introwertyka. Tak, to by pasowało. Na australijskim pustkowiu często spotykała takich mężczyzn. Milczących, trzymających się na uboczu, dążących do zrealizowania własnych celów i ambicji.

- Panie mają pierwszeństwo - rzekł znudzonym tonem. - Proszę mi coś o sobie opowiedzieć.

- A co chciałby pan wiedzieć?

W odpowiedzi uniósł prawą brew.

- Jak się pani podoba nowa praca?

- Bardzo. Wszyscy są ogromnie mili.

- Cieszę się.

Zapadła cisza.

- Teraz ja powinnam zadać panu pytanie.

- Niech pani pyta.

- Co pan jadł na śniadanie?

- Słucham? - Miał tak zdumioną minę, jakby usłyszał prośbę o swój prywatny numer telefonu.

- Spytałam, co pan jadł przed wyjściem z domu.

- Co to za pytanie?

- Bezpieczne i niewinne, przynajmniej taką mam nadzieję.

Uśmiechnął się. Niesamowite! W kącikach oczu pojawiły się zmarszczki, twarz uległa przeobrażeniu. Wyglądał tak jak wtedy, gdy grał w piłkę z siostrzeńcami: młodo i beztrąsko.

- Wypiłem filiżankę kawy - odparł.

- To wszystko?

- Tak. Nie jadam śniadań.

Wiedziała, że nie powinna strofować swojego pracodawcy ani prawić mu kazań, nie mogła się jednak powstrzymać.

- Ależ to najważniejszy posiłek dnia. Mój ojciec i bracia nie wychodzą do pracy, jeśli wcześniej nie zjedzą góry grzanek i jajeczniczy na boczku.

- Jaki rodzaj pracy wykonują?

- Tata i mój najstarszy brat, Matt, zarządzają farmą rodzinną w Tarra-Binyi. Steve pracuje na platformie wiertniczej przy zachodnim wybrzeżu Australii. Josh obsługuje wielkiego żurawia linowłótkowego w zagłębiu węglowym w centralnym Queenslandzie, a Damon występuje na rodeo.

Ciemne brwi Logana Blacka uniosły się jeszcze wyżej.

- Nic dziwnego, że nie ruszają się z domu bez porządnego śniadania.

Sally uśmiechnęła się.

- Moja kolej na pytanie.

- Zaczynam się bać.

- Niepotrzebnie. - Z trudem zdławiła pokusę, aby spytać o bukiet białych róż. - Najważniejsza rzecz, jaką powinnam o panu wiedzieć?

- Że jestem pani szefem.

- Nie. To musi być coś, czego nie wiem.

- A kto powiedział, że w tej grze obowiązują jakieś zasady?

- Sądziłam, że mamy się lepiej poznać - rzekła Sally, lecz widząc napięcie malujące się na twarzy Logana, dodała szybko: - Ale oczywiście ma pan rację. Pan jest szefem i pan ustala reguły.

Skinął głową, jakby stwierdziła oczywisty fakt.

- Nie wydaje mi się, aby chodziło o dogłębne poznanie drugiej osoby. Po prostu skupmy się na codziennym życiu. Może mnie pani spytać, od jak dawna mieszkam w Sydney. Albo do jakiej uczęszczałem szkoły. O ulubione przedmioty w szkole.

- Spróbuję zgadnąć. Najbardziej lubił pan... matematykę?

Roześmiał się zaskoczony.

- Owszem.

- I uczęszczał pan do prywatnej szkoły dla chłopców? Takiej jak Sydney Grammar albo Kings?

- Strzał w dziesiątkę. No, prawie w dziesiątkę. Zacząłem naukę w Sydney Grammar, ale potem... - Spuścił wzrok i westchnął ciężko. - Później moja rodzina popadła w

kłopoty finansowe i musiałem zmienić szkołę. - Zacięty wyraz twarzy świadczył o tym, że zmiana szkoły stanowiła dla niego duże obciążenie psychiczne.

- To przykre - rzekła łagodnie Sally. - Ale mimo tamtych kłopotów teraz doskonale się panu wiedzie w życiu.

Nie potrzebował współczucia. Wzruszył ramionami; nie chciał wracać do dramatów rodzinnych.

- A w Sydney mieszkam od urodzenia. - Popatrzył na nią. - A pani większość życia spędziła na zachodzie?

Opowiedziała mu w paru zdaniach o Tarra-Binyi i o swojej chrzestnej, która zostawiła jej w spadku dom, po czym znów przeszła do pytań.

- Wiem, że lubi pan grę w piłkę. W co najbardziej? Futbol?

Skrzywił się. Dlaczego? Sally zmrużyła oczy. Czyżby złamała jakieś niepisane prawo? Mieli udawać, że spotkania w parku nigdy nie było?

- Wolę rugby - odparł w końcu. - A pani coś ćwiczy, w coś gra?

- Próbowałam większości dyscyplin sportowych. Najlepiej mi szło w tenisie i jeździe konnej. - Zamyśliła się. - Czyli był pan dobrym uczniem, dobrym rugbistą i jest pan świetnym biznesmenem. A czy czegoś pan nie umie? Czy coś sprawia panu trudności?

Roześmiał się speszony.

- Owszem. Nie potrafię tańczyć.

- Serio?

Wciągnęła z sykiem powietrze. Nie dlatego, że odpowiedź ją zaskoczyła. Po prostu na sam dźwięk słowa „tańczyć” poczuła ukłucie, jakby gwałtownie zacisnęła się wokół niej żelazna obręcz. Przypomniała sobie tamten straszny wieczór i znów zobaczyła przed oczami przystojną twarz Kyle'a Francisa, jego czarujący uśmiech...

W porządku, poradzę sobie. Nie wpadnę w panikę, powtarzała w duchu. Nie mogę dygotać na całym ciele, ilekroć ktoś mówi o tańcu.

Logan przyglądał się jej niepewnie.

- Chyba większość facetów ma z tym problemy? Weź się w garść! - nakazała sobie Sally.

Po chwili uniosła dumnie głowę.

- W moich rodzinnych stronach bale i potańcówki bywały na porządku dziennym. Uwielbiam walca, sambę, fokstrota! A kroków nauczyli mnie moi starsi bracia.

Uff! Odetchnęła z ulgą.

- To wcale nie jest takie trudne - dodała.

- Nie wierzę.

- Chce się pan założyć?

Ugryzła się w język. Trochę przesadziła.

Zapadła niezręczna cisza. Sally przyszło do głowy, że Logan zaraz zrewanżuje się pytaniem, z czym ona radzi sobie najgorzej. Nie zrobił tego; był zbyt dobrze wychowany.

- A wracając do pytań, jaką muzykę pan lubi? - spytała, przerywając ciszę.

- Och, to łatwe. - Wyraźnie się odprężył. - Każdą. Moja babka grała na fortepianie, głównie utwory klasyczne. Chyba po niej odziedziczyłem zamiłowanie do muzyki. Niestety nie odziedziczyłem jej talentu.

Przynajmniej porzucili temat tańca.

- Słabo się znam na muzyce klasycznej - przyznała Sally. - Co prawda Chloe zabierała mnie na koncerty, a odkąd zamieszkałam w Sydney, często słucham jej płyt. Niektóre utwory są fantastyczne.

- Jest jakiś, który szczególnie przypadł pani do gustu?

- Hm... Niedawno odkryłam niezwykle koncert skrzypcowy. Dziwny, bo bardzo smutny, a zarazem podnoszący na duchu.

- Skomponowany przez...? - Logan świdrował ją wzrokiem.

- Brahmsa.

- Tak - szepnął. - To również jeden z moich ulubionych utworów.

- Dostarcza niesamowitych wrażeń. Pod koniec pierwszej części jest taki moment...

- Kiedy tempo nagle zwalnia?

- Właśnie! Ile w tym uczucia!

- To prawda. - Logan skinął głową. - Człowiek zastyga bez ruchu i po prostu słucha.

- Nie sposób opisać tego słowami. - Sally zamilkła. Nie rozumiała, co się z nią dzieje, ale nagle, bez ostrzeżenia, miała ochotę wybuchnąć płaczem. - Ojej, ta rozmowa staje się zbyt poważna - powiedziała, usiłując nadać swojemu głosowi lekkie brzmienie. - A to, zdaje się, wbrew regułom.

Uśmiechnął się smutno.

- Lepiej przejdźmy do innych tematów - zaproponowała. - Może do podróży?

Przez moment miała wrażenie, że Logan wolałby pozostać przy muzyce; po chwili jednak potarł brodę i zapytał:

- Dużo pani podróżuje?

- Znam tylko Australię. Ale chciałabym kiedyś zwiedzić świat.

Odprężył się. Usiadł wygodnie, oparł łokieć o krzesło.

- Gdyby mogła pani wybrać jakieś jedno dowolne miejsce, to dokąd by pani poleciała?

Uśmiechnęła się.

- Spodobała się panu ta zabawa?

- Czekam na odpowiedź, panno Finch.

- I zapamiętał pan moje nazwisko. - Czy zapamiętał? Zobaczyła, że wpatruje się w identyfikator, który przypięła nad biustem. - Jedno dowolne miejsce? Hm, niech no pomyślę. Tak, to by był Paryż. Marzę o tym, żeby popłynąć Sekwaną, przejść się po Polach Elizejskich... Chociaż nie! - Ściągnęła brwi. - Gdybym musiała ograniczyć się do jednego miejsca, chyba wybrałabym Włochy. Wenecję lub Florencję. Tak, zdecydowanie Wenecję. - W swojej bibliotece Chloe miała mnóstwo albumów ze zdjęciami kanałów, pięknych łukowych mostów, starych niszczejących pałaców, gondoli. - Tam wszystko jest historią.

- Brahms kochał Wiedeń.

- Wiedeń też nie byłby zły. Kurczę, chyba nie potrafię zdecydować się na jedno miejsce!

Rozciągnął usta w uśmiechu. Ona też. Nagle świat wydał się znacznie sympatyczniejszy niż jeszcze godzinę temu.

- Wciąż rozmawiacie?

Poderwawszy głowę, zobaczyli za sobą Janet Keaton.

- Nie słyszeliście, co powiedziałam? Czas już minął.

Sally rozejrzała się wkoło: wszyscy siedzieli na swoich miejscach, z zaciekawieniem przyglądając się jej i Loganowi.

- Zaczęliśmy z drobnym opóźnieniem - wyjaśnił Logan; nie patrząc na Sally, wstał, dostojnym krokiem wrócił do stołu konferencyjnego i ponownie usiadł koło Hanka.

Janet poprosiła uczestników spotkania, aby przedstawili grupie swojego współrozmówcę, opowiedzieli coś na jego temat. Logan nie słuchał. Usiłował zrozumieć, co się z nim dzieje. Dlaczego nowa pracownica ma na niego tak silny wpływ? Owszem, jest ładna, ale przecież umawiał się z kobietami znacznie ładniejszymi od niej.

Intrygowały go jej złote loki, ale w sumie chodzi o coś więcej. Sally Finch emanuje ciepłem, pogodą ducha. Jej świeżość i energia kojarzyły mu się z tym, co czuł w pierwszy dzień letnich wakacji albo podczas Bożego Narodzenia, gdy patrzył na prezenty pod choinką.

Nigdy dotąd nie spotkał takiej kobiety. Oczywiście nie zamierzał się do tego przyznać. Kiedy w końcu nadeszła jego kolej, aby przedstawić zebrany Sally, opowiedział o jej rodzinie, o dzieciństwie spędzonym na farmie, o marzeniach związanych z podróżami. Nie wspomniał o tym, co ich łączyło: muzyce Brahmsa. Nić porozumienia, jaka się wtedy między nimi wytworzyła, stanowiła coś tak intymnego, że nie chciał się z nikim dzielić.

Ciekaw był, czy Sally wspomni o Brahmsie. Pełen obaw, czy ta młoda bezpretensjonalna dziewczyna nie zdradzi zbyt wiele, siedział jak na szpilkach. Był mile zaskoczony, okazała się bowiem niezwykle dyskretna. To już z jego cv można było się więcej dowiedzieć niż z jej prezentacji.

Napotkał zdziwione spojrzenie Janet Keaton. Chryste, czego się spodziewała? Że Sally ujawni jakieś jego głęboko skrywane tajemnice?

Hm, może oboje nie docenili jej taktu, wrażliwości, dobrego wychowania.

Pierwszy raz uczestniczyła w warsztatach poświęconych budowaniu więzi zespołowych. Pomysł szalenie jej się podobał. Uczestnicy rozwiązywali najróżniejsze problemy; ćwiczenia ukazywały mocne strony jednych, słabości drugich, korzyści z pracy w

zespole. Sally odkryła, że potrafi myśleć lateralnie, że jest dobrym słuchaczem i ma zdolności empatyczne, natomiast szwankuje u niej logika i zdolności przestrzenne.

Podzieleni na grupy szukali błędów w tekście, usiłowali znaleźć trójkąty w pięcio-kącie, nie odrywając długopisu od kartki, próbowali połączyć kolejne kropki. Mówili o swoich marzeniach i fantazjach.

Sally marzyła o tym, aby mieć proste ciemne włosy. Logan zaskoczył wszystkich prócz Sally, wyznając, że chciałby zagrać w drużynie rugby. W porze lunchu przeprosił ich, obiecując, że wróci na popołudniową sesję. Ominął go pyszny zimny bufet przygotowany dla uczestników warsztatów.

- Cześć, bidulko - powiedziała do Sally Maeve. - Jak to jest, gdy cię piłuje szef we własnej osobie?

- Z początku byłam strasznie zdenerwowana - przyznała Sally. - Ale w sumie to całkiem miły facet.

- Pod koniec wyglądaliście jak dwoje ludzi kompletnie sobą pochłoniętych.

- E tam, po prostu rozmawialiśmy o podróżach. A jak tam twój Książę?

- Jest fantastyczny! - Oczy Maeve zaśmiały się z przejęciem. - Umówiliśmy się na wieczór.

- Serio? - Sally wytrzeszczyła oczy. - Nie tracisz czasu.

Maeve uśmiechnęła się szeroko.

- Już w trakcie tej rozmowy czułam się jak na randce.

Ja też, pomyślała Sally. Ciekawe, co by Logan powiedział, gdyby potrafił czytać w jej myślach.

Zgodnie z obietnicą, wrócił na popołudniową sesję. Janet podzieliła ich na rywalizujące drużyny, wyposażyła w zestaw materiałów i kazała zbudować „antygranat”, który potrafiłby zabezpieczyć umieszczone w środku jajko. Sally, która nie nadawała się do takich robót, odsunęła się na bok i jedynie wspierała swoją drużynę. Korzystając z grubej tektury i pomiętego papieru, każda drużyna realizowała swój pomysł, następnie wszyscy wyszli do parku, gdzie poddano antygranaty testom.

Skorupka jajka w antygranacie zbudowanym przez drużynę Sally rozbiła się. Wygrała drużyna Logana.

Podczas zajęć zespołowych ani razu nie przydzielono ich do jednej drużyny. W dodatku Logan nie zwracał na Sally najmniejszej uwagi, ona jednak cały czas była świadoma jego obecności. Czuła się okropnie, jak nastolatka zadurzona w przystojnym szkolnym koledze. Tyle że nie robiła sobie żadnych złudzeń. Bo i po co?

Późnym popołudniem Janet zaprosiła uczestników warsztatów na aromatyczną herbatę oraz słodkie bułeczki z dżemem truskawkowym i bitą śmietaną. Po poczęstunku oznajmiła, że nadszedł czas, by wyciągnąć wnioski z dzisiejszego spotkania.

- Zanim to jednak uczynimy, chciałabym, abyście się dobrali w te same pary, co rano.

Sally poczuła ukłucie w brzuchu. Zobaczyła, jak na drugim końcu pokoju Logan lekko sztywnieje i zerka w jej stronę. Z neutralnym wyrazem twarzy skinął głową.

Rozgrzana, a zarazem dygocząc z zimna, ruszyła przez salę.

- Tym razem - kontynuowała Janet - dam wam listę pytań. - Krążąc między stolikami, wręczała uczestnikom kartki. - Najważniejsza jest reakcja zwrotna, opinie innych na nasz temat. Dzięki nim wiemy, jak nas ludzie postrzegają. To bezcenna informacja, moim zdaniem bardzo pouczająca.

Sally skuliła się w środku. Bała się usłyszeć zdanie szefa na swój temat, jeszcze bardziej bała się sama wyrazić o nim opinię. Z lękiem rzuciła okiem na pytania.

Jakie było twoje pierwsze wrażenie na mój temat?

Dlaczego tak pomyślałeś?

Kogo lub co ci przypominam? Dlaczego?

Czy pierwsze wrażenie okazało się trafne?

Psiakość! Ma szczerze powiedzieć mu o swoim pierwszym wrażeniu? Spotkali się na korytarzu, kiedy przyszła na rozmowę kwalifikacyjną. Trzymał Rose, którą znalazł pod swoim biurkiem. Już po chwili uznała go za aroganta i zarozumialca.

Podniósłszy wzrok, zobaczyła ciemny rumieniec na twarzy Logana. Domyśliła się, że jej szef czuje się równie zakłopotany, jak ona. Splotła nerwowo ręce.

- Wszystkiego można się po Janet spodziewać - mruknął Logan i popatrzył na Sally spod zmrużonych powiek. - Chce pani zacząć?

- Wolałabym nie.

Podsuniąwszy śnieżnobiały mankiet, spojrzął na zegarek, który oczywiście był złoty i elegancki.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, czy zdążymy. O czwartej mam zebranie.

- To musi pan już iść. - Sally odetchnęła z ulgą, zadowolona, że im się upiekło.

Logan odsunął krzesło od stołu, ale zanim zdążył wstać, podeszła do nich Janet Keaton.

- Mam nadzieję, że nie próbujesz się wywinąć z zadania? - powiedziała głośno, tak by wszyscy słyszeli.

- Mam ważne zebranie o czwartej.

- Zdążysz.

Sally czekała w napięciu na ripostę Logana. Jako szef bez trudu mógłby wyjść. Ku jej zdziwieniu wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

- Lepiej bądźmy grzeczni, bo Janet na nas się zezłości.

Janet odeszła, a on zajął ponownie miejsce, oparł łokcie na stole i pochylił się.

- Proszę nie mieć takiej przerażonej miny, Sally. Nic złego pani nie zrobię. A jeśli chodzi o pierwsze wrażenie, to przyznam się bez bicia, że nie miałem racji.

- Naprawdę?

- Tak. Wziąłem panią za samotną matkę. W dodatku dość roztrzepaną.

- A okazałam się roztrzepaną ciotką. - Uśmiechnęła się.

Ciepły blask w oczach mężczyzny sprawił, że przeszył ją dreszcz. Zamierzała powiedzieć, że on doskonale radzi sobie w roli wujka, ale nie dopuścił jej do głosu.

- Jak się czuje chłopczyk z astmą?

Zaskoczyło ją to pytanie. Nie przypuszczała, że szef wie o Oliverze.

- Znacznie lepiej, dziękuję. Dostał jakieś leki, które pomogły.

Skinął głową, po czym spojrzął na kartkę, którą Janet wszystkim wręczyła.

- Powinienem teraz powiedzieć, kogo lub co mi pani przypomina.

- Błagam, tylko niech pan nie mówi, że wiecheć.

- Dlaczego miałbym coś takiego powiedzieć?

- Tak mnie bracia przezywali. I wszyscy w szkole.

- Z powodu burzy włosów?

Westchnęła ciężko.

- No właśnie.

Przyglądał im się przez dłuższą chwilę.

- Najbardziej przypomina mi pani moją siostrę, Carissę. Fizycznie się różnicie, ale obie tryskacie energią.

Ciekawe, pomyślała Sally.

- I obie lubicie mówić. Buzia wam się nie zamyka.

Ponownie zerknął do kartki z pytaniami.

- Przyznam jednak, że wrażenie, jakie dziś odniosłem, jest dużo lepsze od pierwszego.

Ucieszyła się, że Logan, wpatrzony w kartkę, nie zobaczył, jak ona oblewa się rumieńcem.

- Teraz pani kolej. - Uśmiechnął się. - Ale nie potraktuje mnie pani zbyt brutalnie?

- Gdzieżbym śmiała? Jeszcze bym straciła pracę!

- Proszę o szczerść.

Wzięła głęboki oddech.

- No dobrze. Moje pierwsze wrażenie: Boże, jaki on jest ciemny i wysoki. Wydawało mi się również, że nie bardzo lubi pan dzieci.

- Dlaczego? - spytał zdumiony.

- Trzymał pan biedną Rose daleko od siebie, jakby bał się od niej czymś zarazić.

Przyjął to wzruszeniem ramion.

- Nie jestem przyzwyczajony do takich maluchów.

- Oczywiście teraz wiem, że się myliłam. Ze swoimi siostrzeńcami ma pan znakomity kontakt. - Zamilkła. Czekala, aż Logan się skrzywi lub w inny sposób okaże niezadowolony. Ponieważ nie zareagował, kontynuowała odważnie: - Zauważyłam również, że jest pan człowiekiem niesłuchanie zajęтым i rzadko się uśmiecha.

- To prawda.

- Pomyślałam sobie, że może nie jest pan zbyt szczęśliwy. I że doskwiera panu samotność.

Zachmurzył się.

- Ale potem przyniesiono kwiaty.

- Mówi pani o różach?

- Tak, o bukietach białych róż, które kurier dostarcza w każdy piątek.

- I co?

- Uznałam, że jest w pana życiu jakaś wyjątkowa osoba.

Kąciki ust mu zadrżały.

- A skoro tak... - Przełknęła ślinę. - Skoro ma pan, kogoś, kogo obdarowuje kwiatami, to nie może być pan nieszczęśliwy.

Utkwił w niej spojrzenie. Speszona, odwróciła wzrok.

- Jakie jest następne pytanie?

- Kogo lub co pani przypominam. I dlaczego.

- Hm. - Prawdę rzekłszy, nie spotkała wielu mężczyzn z dużych miast, pomijając tego, który usiłował ją zgwałcić. Tamten uśmiechał się non stop, czarował. Logan Black w niczym go nie przypominał. - Przypomina mi pan wielu ludzi - oznajmiła po namyśle. - Mężczyzn, wśród których dorastałam. Hodowców bydła, zarządców, kowbojów, postrzygaczy. Cechuje was podobna siła, pewność siebie, ambicja. Podejrzewam, że nieustrudzenie dąży pan do celu.

- To prawda.

- Moje pierwsze wrażenie było mylne. Jest pan całkiem inny. - Zamilkła. Uznała, że nie powinna wspominać o tym, jak wyglądał, zanim wpadł do stawu. Ani dziś rano, kiedy rozmawiali o muzyce. - Dobry i wrażliwy. Ale stara się pan to ukryć.

Logan ponownie się skrzywił. Mogła się tego spodziewać.

- To w niczym nie przeszkadza - ciągnęła, wiedząc, że porusza się po śliskim gruncie. Ale warsztaty dobiegały końca i poczuła się odważna. - Szef powinien udawać twarziela.

- Nie, nie powinien udawać. Powinien nim być. Inaczej nie powinien być szefem. - Spojrzawszy na zegarek, Logan poderwał się na nogi. - Proszę mi wybaczyć, ale naprawdę muszę już iść.

ROZDZIAŁ PIĄTY

To był dziwny dzień.

Logan jechał szybko, zmieniając pasy i ścinając zakręty, by zdążyć na zebranie. Wciąż nie mógł dojść do siebie po rozmowie z Sally Finch. Budowanie ducha zespołowego? W porządku, odkrył wiele interesujących cech u swoich pracowników, ale wprost nie mógł uwierzyć, że sam tak bardzo się odsłonił. I to w dodatku przed recepcjonistką! Która miała tupet oznajmić, że on, Logan Black, tylko udaje twardziela! Co za bzdury!

W wieku piętnastu lat, kiedy zbankrutował jego ojciec, obudował się skorupą. Od tamtej pory skorupa twardniała, a on robił wszystko, by nie powtórzyć błędów ojca.

Przed czerwonym światłem ostro zahamował. Bębniąc niecierpliwie palcami w kierownicę, patrzył na ludzi przechodzących przez skrzyżowanie: mężczyzn w garniturach, uczennice w granatowych mundurkach i słomkowych kapeluszach, rodzinę turystów w dżinsach...

Zmrużywszy oczy, skupił się na turystach, rodzicach z dwojgiem dzieci. Ojciec obejmował syna za ramię. Rozmawiali, śmiali się. Jego z ojcem łączyły podobnie bliskie relacje.

Kiedy zapaliło się zielone światło, ruszył w dalszą drogę. Jechał na autopilocie, rozmyślając o przeszłości, o tym, czego nauczył się od ojca.

Wszyscy kochali Dana Blacka za jego pogodę, otwartość, bezproblemowość. Oczywiście Logan go uwielbiał, traktował jak bohatera. W sezonie piłkarskim, ubrani w kolory klubowe, chodzili razem na wszystkie mecze swojej ukochanej drużyny rugby, South Sydney Rabbitohs. W owym czasie syn nie zdawał sobie sprawy z zagrożeń wynikających z charakteru ojca, który nigdy niczym się nie przejmował. Dopiero później zrozumiał, że w życiu należy kierować się rozumem, a nie sercem.

Dan Black lubił żartować, że jest jedynym biznesmenem, który nigdy nie miał biznesplanu. Powiedz, synu: po co opracowywać jakieś strategie? Słuchaj serca, a nie popełnisz błędu.

Jasne, tato. Jasne.

Przez jakiś czas Dan osiągał sukcesy na polu nieruchomości. Ale miał kilka szalonych pomysłów, które nie wypaliły. Nie był ubezpieczony.

Dziś Logan wiedział, na czym polegał problem. Ojciec nie potrafił skoncentrować się na najważniejszym zadaniu, nie potrafił przewidzieć kłopotów, nie przeprowadzał dokładnych badań, analizy, zawsze miał zbyt małe rezerwy gotówkowe, więc nie stać go było na ubezpieczenie.

Po ostatniej katastrofie, kiedy ogłoszono bankructwo, ojciec przeżył załamanie nerwowe. Zawiódł rodzinę, zawiódł inwestorów. Przyjaciele, którzy sami pożyczali z banku pieniądze, aby zainwestować w interes ojca, odwrócili się od niego.

W środku semestru Logan z siostrą musieli opuścić drogą prywatną szkołę. Byli niepocieszeni.

Tylko matka szybko zaadaptowała się do nowej sytuacji. Bez szemrania zrezygnowała z gry w tenisa, z partyjek brydża; zakasała rękawy i poszła do pracy. Ponieważ pracowała u dawnych przyjaciół, Dan tym bardziej czuł się upokorzony.

Logan wyciągnął jeden wniosek, który zapamiętał na zawsze. Mężczyzna, który myśli sercem zamiast rozumem, sprowadza nieszczęście na swoich bliskich. Zatem nie należy ulegać chwilowym kaprysom, tylko skupić się na nauce, a potem na biznesie.

Chcąc odnieść sukces, Logan ułożył sobie plan pięcioletni. Dopiero kiedy osiągnie stabilizację finansową i zajdzie na sam szczyt kariery, pomyśli o założeniu rodziny.

Wjeżdżając do podziemnego parkingu, zastanawiał się, czy powinien był powiedzieć o tym Sally. Miał okazję, kiedy stwierdziła, że sprawia wrażenie człowieka, który uparcie dąży do celu. Tak, należało poinformować ją o tym, ile gotów jest poświęcić, aby zrealizować swoje cele. Może wtedy nie mówiłaby, że tylko udaje twardziela, a w rzeczywistości jest poczciwym człowiekiem.

Tego wieczoru, po raz pierwszy od przyjazdu do Sydney, Sally czuła się smutna i dziwnie niespokojna. Dokuczała jej samotność, tęsknota za rodzinnym domem.

Bardzo chciała udowodnić sobie i rodzinie, że już jest „wyleczona”, że odzyskała równowagę po incydencie z Kyle'em. Dziś weszła na ring i wygrała kolejną rundę: rozmawiała z Loganem o tańcu.

Właściwie zrealizowała już wiele celów. Miała interesującą pracę, nowych przyjaciół, zaczęła zarabiać. Tylko szkoda, że jej szef nie był stary, siwy i szczęśliwie żonaty.

Tego dnia, kiedy wybrała się na rozmowę kwalifikacyjną i zobaczyła go po raz pierwszy, oczarował ją swym wyglądem. Dziś, po ich długiej i szczerzej rozmowie, była zauroczona nim samym. Nie mogła przestać o nim myśleć. Nie spotkała dotąd człowieka tak pełnego sprzeczności.

Opanuj się, dziewczyno, skarciła siebie w duchu. Nie rób sobie nadziei. Żyjecie w dwóch różnych światach.

Obiecując sobie po raz sto pięćdziesiąty, że zaraz wyrzuci Logana ze swoich myśli, przyrządziła wielką misę makaronu i nalała kieliszek białego wina. Zamiast zjeść posiłek w kuchni, przeszła do salonu i zaciągnęła zasłony.

Zazwyczaj różowe abażury na lampach, gruba beżowa wykładzina, piękne obrazy na ścianach i wielkie miękkie kanapy z miejsca poprawiały jej nastrój, ale dziś nic nie pomagało. Wiedziała, że słuchanie koncertu Brahmsa, kiedy rozpaczliwie próbuje zapomnieć o Loganie, nie ma najmniejszego sensu, ale nie umiała oprzeć się pokusie. Siedząc w wygodnym fotelu, jadła makaron, piła wino, a cudowna muzyka wypełniała pokój.

Żałowała, że nie może porozmawiać z Chloe. Wyobraziła sobie, jak matka chrzestna ubrana w jaskrawy kaftan siedzi uśmiechnięta na kanapie i udziela jej cennych rad. Ale Chloe umarła, ona zaś była sama, a do matki nie chciała dzwonić. Matka zbyt dobrze wyczuwała jej nastroje. Natychmiast by się domyśliła, że coś się stało.

Z ciężkim westchnieniem skierowała myśli na Maeve, która umówiła się dziś wieczorem na randkę z młodym geologiem. Mądra Maeve. Ona, Sally, powinna wziąć z niej przykład i też przyjąć zaproszenie na kawę od któregoś z sympatycznych, nieżonatych pracowników Blackcorp. Kilku wyraźnie wpadła w oko. Mijając recepcję, zawsze przystawali na moment, żeby przywitać się, porozmawiać.

Dlaczego nie mogła zadurzyć się w Davidzie lub Johnie, zamiast snuć fantazje o swoim wyniosłym, trzymającym się na dystans szefie, który mijał ją zaaferowany i raz w tygodniu kupował białe róże dla innej kobiety?

Nagle rozległ się ten pasaż, który tak nieudolnie próbowała dziś opisać Loganowi. Przypomniała sobie nieoczekiwany wyraz wzruszenia na jego twarzy. Łzy popłynęły jej po policzkach.

Zadzwonił telefon. Nie miała ochoty go odbierać. W ostatniej chwili poderwała się z fotela, przetarła oczy i chwyciła słuchawkę. Na drugim końcu linii usłyszała głos Anny.

- Och, Sally, jak dobrze, że cię zastałam. Bo widzisz, Steve wrócił dziś do domu i chcieliśmy spędzić razem jakiś wieczór. Tylko we dwoje. Mogłabyś w piątek popilnować Olivera i Rose?

Sally zapewniła bratową, że zrobi to z przyjemnością. Następnie udała się na górę i napełniła wannę wodą. Do wody wlała jedną czwartą buteleczki piekielnie drogiego olejku kąpielowego, który został jej po Chloe.

Nie ma to jak pachnąca kąpiel na poprawę humoru.

Logan siedział po ciemku w swoim luksusowym apartamencie, z którego rozciągał się widok na zatokę, i słuchając koncertu skrzypcowego Brahmsa, spoglądał na światła odbijające się w czarnej wodzie.

Starał się nie myśleć o Sally Finch, ale kiepsko mu to szło. Oczami wyobraźni widział ją obok siebie na kanapie, z głową na jego ramieniu. Razem słuchają muzyki. On raz po raz wsuwa palce w jej cudowne, gęste loki.

Kretyn! Zły na siebie, poderwał się na nogi i podszedł do okna. Stał z rękami w kieszeniach, wpatrując się w migoczące na wodzie światła miasta i próbując pozbyć się erotycznych myśli. Sally Finch jest jego pracownicą, a on jej szefem. Życia prywatnego nie należy mieszać z życiem zawodowym. Surowo przestrzegał tej zasady. Znał mężczyzn, którzy nie oddzielali tych dwóch sfer, widział, do czego to prowadziło.

Poza wszystkim innym Sally nie jest w jego typie. Nie ma żadnych kwalifikacji zawodowych, żadnych celów, które pragnęłaby osiągnąć. Zamieszkała w domu, który odziedziczyła po ciotce, i znalazła sobie nieskomplikowaną pracę, w której może sobie bez przeszkód gadać. A gadać lubi.

„Pomyślałam sobie, że może nie jest pan zbyt szczęśliwy”.

Wciąż słyszał te słowa.

Jak może nie być szczęśliwy? Robi to, co chce. Kolejno realizuje swoje cele. W pracy osiąga sukcesy. Ma wspaniałą apartament, którego można mu tylko pozazdrościć. Podoba się pięknym kobietom. Niczego mu do szczęścia nie brakuje.

Wyznał dziś Sally, że przypomina mu jego siostrę. I faktycznie są podobne. Parę dni temu, kiedy odwoził chłopców, siostra powiedziała mu coś równie irytującego. Zaczęła krytykować kobiety, z którymi się umawiał; twierdziła, że specjalnie wybiera takie, dla których praca stanowi priorytet. Takie, których nie interesuje małżeństwo, dom, dzieci.

Zgoda. I co z tego?

Obrał strategię na najbliższe pięć lat. Nie mógł sobie pozwolić na szal uniesień ani romantyczny zryw, o jakim mówiła Carissa. Czy siostra nie rozumie lęku, jak w nim tkwi? Trzeba stale mieć na oku cel, do którego się dąży. Jeżeli na moment się o nim zapomni, można popełnić fatalny błąd i zostać z niczym. Jak Dan Black.

Próbował wyjaśnić to Carissie, ale ona stwierdziła jedynie: obyś nie został z pustką w sercu.

Kobiety! Uważały, że mają jakiś wrodzony radar, który pozwala im odczytywać stan ducha innych. Jakim cudem Sally Finch lub siostra mogą cokolwiek wiedzieć na temat jego zadowolenia z życia?

Zanim zdołał rozwikłać ten problem, w ciszę wdarł się dzwonek telefonu. Wzdychając z irytacją, Logan ściszył muzykę i przeszedł do kuchni.

- Hej, braciszku. To ja - usłyszał na drugim końcu linii.

O wilku mowa.

- Pewnie jesteś strasznie zajęty, więc od razu przejdę do sedna. Mam ogromną prośbę.

Nazajutrz rano uczestnicy warsztatów witali Sally przyjaznym uśmiechem. Maeve promieniała szczęściem; najwyraźniej wczorajsza randka się udała.

Logan skinął jej na powitanie i pomknął dalej, z telefonem przy uchu. W południe nawet na nią nie spojrzął wyszedł z biura pochłonięty rozmową z doradcą technicznym. Sally tłumaczyła sobie, że tak jest lepiej. Że życie jest mniej skomplikowane, gdy nie trzeba rozmawiać z Loganem, uśmiechać się do niego.

O piątej, kiedy szykowała się do wyjścia, Kim poinformowała ją, że w kopalni w zachodniej Australii zawaliło się dostarczone przez Blackcorp rusztowanie.

Trzech mężczyzn zostało rannych. Szef polecił do Perth sprawdzić, jak do tego doszło i dopilnować, by ranni otrzymali najlepszą opiekę medyczną.

- Ale nie miej takiej smutnej miny - dodała Kim, spoglądając na przyjaciółkę. - Cała ta sprawa ciebie nie dotyczy, a szef ze wszystkim sobie poradzi.

- Nie wątpię. - Sally przewiesiła torebkę przez ramię. - Chyba wybiorę się do kina. Na jakąś dobrą komedię.

- Nic sobie na dziś nie zaplanowałam. Masz ochotę na towarzystwo?

Sally uśmiechnęła się szeroko.

- No pewnie!

W piątek, kiedy dotarł kolejny bukiet białych róż, Logan wciąż przebywał w Perth. Sally ponownie zawiozła je na górę do pokoju Marii Paige. W windzie przysunęła nos do aksamitnych płatków; miała wrażenie, że wydzielają jeszcze bardziej intensywny zapach niż przed tygodniem.

Sekretarka Logana rozmawiała przez telefon. Sally wstawiła kwiaty do przygotowanego wazonu z wodą. Ciekawe, co z nimi będzie? Czy Maria prześle je kurierem do kochanki Logana? Może zabierze je do własnego domu? A może będą tkwiły tu w wazonie przez cały weekend?

Starając się nie myśleć o pracy, a raczej swoim przystojnym pracodawcy, Sally ucieszyła się na widok Anny i Steve'a, choć ci wpadli tylko na moment, żeby podrzucić jej dzieci.

- Do torby wsadziłam pieluchy Rose i inhalator Olivera - oznajmiła Anna, która ślicznie wyglądała w szarej jedwabnej sukni i perłach na szyi. - Inhalator jest na wszelki wypadek, gdyby Oliver zaczął tracić oddech. Wystarczą dwa naciśnięcia.

Steve przytulił niezdarnie siostrę.

- Cześć, mała. Jak sobie radzisz w wielkim mieście?

- Świetnie - odparła Sally, uśmiechając się pogodnie, żeby tylko brat nie nabrał żadnych podejrzeń.

Tamtego wieczoru, kiedy Kyle się na nią rzucił, Steve uratował ją przed gwałtem. Wciąż uważał, że siostra potrzebuje jego opieki.

- Twój szef ma opinię prawdziwego twardziela.

- Tak? - Wzruszyła ramionami. - Pracuję w recepcji, więc niewiele mam z nim do czynienia.

Steve'a najwyraźniej usatysfakcjonowała jej odpowiedź. Po chwili małżonkowie pomachali dzieciom na dobranoc i wyszli. Sally spędziła wieczór, czytając na głos bajki. Oliver ani razu nie miał problemu z oddychaniem. O ósmej oboje z Rose leżeli w łóżkach.

Kiedy dzieci zasnęły, Sally zeszła na dół. Kartkowała kryminał, skakała po kanałach telewizyjnych i usiłowała sama nie zasnąć, dopóki Steve z Anną nie wrócą po odbiór swoich pociech. Przyjechali parę minut po północy.

Sobota i niedziela, które zazwyczaj należały do jej ulubionych dni tygodnia, ciągnęły się w nieskończoność.

W sobotę wieczór Kim zaprosiła ją na parapetówkę swojej znajomej.

- Wpadnij. Będzie wesoło.

Sally zawahała się. Wiedziała, że powinna więcej wychodzić z domu, poznawać ludzi. W Sydney mieszka mnóstwo niezamężnych facetów; liczyła na to, że prędzej czy później jakiegoś pozna. Ale zanim zdążyła się dobrze rozejrzeć, Logan Black wpadł do stawu. Jego tors oklejony mokrą koszulą oraz rozmowa, jaką dwukrotnie odbyli w trakcie warsztatów, odcisnęły na niej piętno.

No i nie potrafiła wykrzesać z siebie dość entuzjazmu, aby wybrać się na parapetówkę. Zamiast tego zrobiła porządek w spiżarni. Potem odwiedziła sklep ze zwierzętami i zastanawiała się, czy nie kupić sobie do towarzystwa kota. Kilka razy w ciągu weekendu poszła na długi spacer, a także wysłała do rodziców radosnego mejla, w którym z fałszywym entuzjazmem opisała swoje życie w mieście.

Szef wrócił do biura w poniedziałek. Sally podniosła wzrok znad blatu recepcji w momencie, gdy szklane drzwi rozsunęły się, ukazując wysoką postać w ciemnym garniturze. Na widok Logana serce zabiło jej szybciej. Przyjrzała mu się uważnie; sprawiał

wrażenie zmęczonego. Sama kawa nie wystarczy, pomyślała. Zdecydowanie powinien jadać rano pożywne śniadanie.

Uśmiechnął się.

- Dzień dobry, Sally.

Samo Sally? Nie: panno Finch? Ucieszyła się.

- Miło pana znów widzieć, panie Black.

- Miło być z powrotem.

- Przykro mi z powodu tego wypadku w zachodniej Australii! - zawołała, ośmielona jego przyjaznym tonem.

- Tak, to faktycznie bardzo przykre. - Zatrzymał się przy zamkniętych drzwiach oddzielających hol od biura. - Ale ranni są w dobrych rękach. Wkrótce powinni odzyskać pełną sprawność fizyczną. A sam wypadek... na szczęście nie zdarzył się z powodu wadliwych rusztowań.

- To dobrze.

Przez chwilę szukał czegoś w kieszeni, po czym lekko speszony popatrzył na Sally.

- Wpuści mnie pani? Zapodziałem gdzieś moją kartę.

- Oczywiście. - Wcisnęła zamontowany pod ladą przycisk.

Drzwi się rozsunęły z cichym sykiem. Logan jednak nie wszedł głębiej do budynku. Tkwił w miejscu, z ręką w kieszeni spodni, i spoglądał z zadumą na marmurową posadzkę. Po kilkunastu sekundach drzwi cichutko się zamknęły. Sally zamierzała ponownie wcisnąć przycisk, kiedy nagle Logan odwrócił się i podszedł do recepcji.

- Sally, mam pytanie.

- Słucham? - Uśmiechnęła się. - Wiem, że jest pan niezły w zadawaniu pytań.

- Otóż potrzebuję pomocy w pewnej sprawie. Czy moglibyśmy się spotkać tu dziś o piątej i porozmawiać? Nie zajmę pani wiele czasu.

Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Logan zmarszczył brwi.

- Nie bardzo to pani odpowiada, tak?

- Ależ nie - zaprotestowała. - Piąta mi świetnie odpowiada!

- No to znakomicie. - Skinął głową. - Zatem do zobaczenia.

Odprowadziła go wzrokiem do zamkniętych drzwi. Boże, ależ ten facet jest przystojny! Lśniące czarne włosy, ciemne oczy, biała koszula i elegancki garnitur. A pod spodem szerokie ramiona, umięśniony tors...

- Sally? - Obejrzał się lekko rozbawiony. - Otworzy mi pani?

- Ojej, przepraszam. - Czerwieniąc się po uszy, czym prędzej wcisnęła przycisk.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Od rana telefon się urywał, kurierzy dostarczali przesyłki, umówieni goście zjawiali się na spotkania. Słowem mnóstwo się działo; Sally była zbyt zajęta pracą, aby zastanawiać się, o co szef chce ją poprosić.

Ale sprawa nie dawała jej spokoju. W dodatku naszły ją podejrzenia. Skąd to nagłe zainteresowanie jej osobą? Z doświadczenia wiedziała, że kiedy człowiek chłodny zmienia się w czarującego, to coś się musi za tym kryć.

Logan Black czegoś od niej potrzebuje.

Ale dlaczego nie powie tego wprost? Dlaczego nie przyśle mejla? Dlaczego prosi o spotkanie o piątej?

Podczas przerwy na lunch wyszła z Kim do parku. Usiadły na ławce. Gołębie drepwały wkoło, czekając na posiłek. Sally korciło, by zwierzyć się przyjaciółce, ale ugryzła się w język. Zamiast tego zagaiła rozmowę na temat białych róż.

- Pewnie są dla narzeczonej...

Skrzywiwszy się, Kim rzuciła ptakom kawałek bułki.

- Wątpię.

- Dlaczego?

- Logan spotyka się z wieloma kobietami. Takimi, które robią zawrotne kariery w biznesie, w polityce, w sądownictwie. Ale na zdjęciach w prasie za każdym razem jest z inną. Myślę, że róże wręczają aktualnej flamie.

- Nie żartuj! Wszystkim aktualnym ofiarowuje bukiet białych róż? Co za totalny brak wyobraźni!

- Och, daj spokój - roześmiała się Kim, zaskoczona gwałtowną reakcją przyjaciółki. - Jest facetem, a od facetów nie można wymagać zbyt wiele.

- To prawda - przyznała z westchnieniem Sally.

Wciąż jednak miała mętlik w głowie. Kiedy podczas warsztatów napomknęła, że w życiu Logana jest ktoś wyjątkowy, Logan nie zaprzeczył. Ale Kim była pewna, że Logan zmienia kobiety jak rękawiczki.

Oczywiście jej, Sally, w najmniejszym stopniu nie powinno to obchodzić. Ale lubiła jasne sytuacje. Teraz przynajmniej wie, na co może liczyć. Na nic.

Wkrótce po lunchu zadzwoniła Maria Paige.

- Sally, bardzo jesteś zajęta?

- Nieszczerólnie.

- Pan Black chciałby dostać najnowsze artykuły prasowe dotyczące Blackcorp. Trzeba poszperać w internecie, znaleźć wszystko, co się ukazało w ciągu ostatnich paru miesięcy. Mogłabyś to zrobić?

- Jasne. Zaraz się do tego zabiorę.

- Świetnie. Potem bądź tak miła i wyślij mi całość mejlem.

- Oczywiście.

Przystąpiwszy do pracy, Sally zastanawiała się, czy to jest właśnie ta pomoc, o którą Logan zamierzał ją poprosić. Może wspomniał o tym Marii? Może Maria uznała, że nie ma sensu czekać do piątej?

Nie przeszkadzało jej to dodatkowe zajęcie, chociaż było jej przykro, że w tej sytuacji pewnie Logan nie spotka się z nią po pracy. No trudno.

Poszukiwania w internecie coraz bardziej ją wciągały.

Nie spodziewała się, że w prasie pojawiło się aż tyle artykułów na temat Blackcorp. Pod koniec dnia miała znacznie lepszą wiedzę o działalności firmy, jej zasługach, zyskach...

Kilka minut przed piątą wysłała plik do Marii, potem czekała nerwowo na pojawienie się szefa. Przyszedł równo cztery i pół minuty po piątej.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Och, to żadne spóźnienie. Przed chwilą wysłałam Marii plik z artykułami.

- Z jakimi artykułami? - zdziwił się.

- Tymi, o które pan prosił. Które w ciągu ostatnich miesięcy ukazały się w prasie i dotyczyły Blackcorp.

- Tak? I Maria zwróciła się z tym do pani?

- Tak. Myślałam, że właśnie o to chciał mnie pan poprosić.

Wyraźnie zdezorientowany pokręcił głową.

- Nie, moja prośba nie ma związku z pracą.

Sally stała bez ruchu, niemal bojąc się odetchnąć. Logan obdarzył ją jednym ze swoich rzadkich uśmiechów.

- Ale wolalbym nie rozmawiać tu, w holu. Czy mogę zaprosić panią na drinka? Zaraz za rogiem jest cichy sympatyczny bar.

Serce zabiło jej mocniej. Czyżby chciał ją poderwać? Dodać do długiej listy swoich podbojów?

- Obiecuję, że nie zajmę pani zbyt wiele czasu.

- Dobrze. - Sally chwyciła z krzesła torebkę. Miała nadzieję, że Logan nie zauważył, jak drżą jej ręce. - Chodźmy.

Pogoda się zepsuła, ciężkie chmury wisiały nisko na niebie, niemal przygniatając dachy wieżowców. Było chłodno. Sally nie wzięła z domu płaszcza, ucieszyła się więc, że bar faktycznie znajdował się tuż za rogiem.

Logan pchnął szklane drzwi i zaprosił Sally do środka. Drzwi się za nimi zamknęły, odgradzając ich od hałasu ulicznego, który w godzinach szczytu był wyjątkowo uciążliwy. W barze, który okazał się całkiem duży, panował miły nastrój. Piękną drewnianą podłogę przykrywały orientalne dywany, ściany obite były boazerią, wokół stały ogromne skórzane fotele.

Sally miała wrażenie, jakby znalazła się w ekskluzywnym klubie dla mężczyzn. Z początku sądziła, że wśród gości są sami biznesmeni w ciemnych garniturach, ale po chwili dojrzała kilka kobiet, również w ciemnych spodniach i marynarkach.

W jasnoszarym kostiumie i różowej bluzce ozdobionej pod szyją koralikami czuła się dziewczęco i beztrosko.

- Usiądźmy tutaj. - Logan wskazał stolik i dwa miękkie skórzane fotele w rogu sali.

Usiadła skromnie, ze złączonymi kolanami, jak przed laty uczono ją na kursach dobrego wychowania. Po chwili podszedł kelner.

- Czego się pani napije? - spytał Logan. - Może wina?

- Dziękuję. Chętnie.

Zamówił dwa kieliszki cabernet sauvignon.

- Pewnie się pani zastanawia - rzekł, kiedy kelner odszedł - o czym chcę porozmawiać?

- Tak. Wspomniał pan, że potrzebuje mojej pomocy...

- No właśnie. - Rozpiął marynarkę i przyjął wygodniejszą pozycję. - Moja siostra zwróciła się do mnie, abym wspomógł finansowo szpital dziecięcy. Jej mąż jest lekarzem, ona sama jest fizjoterapeutką.

Sally słuchała w milczeniu. Nie potrafiła odgadnąć, do czego Logan zmierza.

- Carissa ma niezwykły dar przekonywania. Kilka minut opowiadała mi o bardzo chorych dzieciach i zanim się zorientowałem, co robię, wypisałem czek ze zbyt dużą ilością zer. Okazało się, że wszystkie czeki biorą udział w loterii fantowej. No i wygrałem...

- Co pan wygrał? - Sally pochyliła się zaintrygowana.

- Bilety na organizowany przez szpital wielki bal charytatywny i zaszczyt zatańczenia z Dianą Devenish.

Bal, tańce...

Sally powściągnęła emocje. Uspokój się, dziewczyno! Ciebie tam nie będzie.

- Czy... - odchrząknęła - czy Diana Devenish to ta znana dziennikarka, która występuje w telewizji śniadaniowej?

- Tak.

- Która zajęła pierwsze miejsce w jakichś zawodach tanecznych?

- Tak.

- I pan ma z nią zatańczyć?

- No właśnie.

- Ale pan nie umie tańczyć! Sam pan to wyznał...

Do stolika podszedł kelner. Sally oblała się rumieńcem, podejrzewając, że pewnie słyszał jej słowa. Powinna się bardziej pilnować, zwłaszcza w miejscach publicznych.

Kelner postawił kieliszki na stole i odszedł, udając głuchego. Logan zaś wydawał się być bardziej rozbawiony niż zagniewany jej wybuchem. Podniósł kieliszek.

- Za warsztaty i budowanie ducha zespołowego - powiedział z uśmiechem.

- Tak, za ducha zespołowego. - Sally wypła łyk ciemnoczerwonego wina. Była pewna, że musi kosztować fortunę. - Doskonale - pochwaliła.

- Owszem, całkiem niezłe.

Wciąż nie wiedziała, w jakim celu Logan poprosił ją o spotkanie. Odstawiła kieliszek na stół. Chciała zachować przytomność umysłu.

- Dobrze pani zapamiętała. Na parkiecie poruszam się, jakbym kij połknął. - Logan pokręcił smutno głową.

- Nie może pan nie pójść na bal? Albo wykręcić się od tańca?

- Sprawilibym przykrość wielu ludziom, między innymi mojemu szwagrowi, który zasiada w radzie szpitala.

- No cóż, cel jest bardzo szlachetny - zauważyła Sally, myśląc o Oliverze i jego problemach z astmą. - Na pewno pan sobie poradzi. W końcu nikt nie spodziewa się, że dorówna pan Fredowi Astaire'owi.

- Nie ma takiej szansy, choćbym ćwiczył latami!

Popęłniła błąd: oczami wyobraźni ujrzała Logana Blacka na parkiecie, a potem popełniła jeszcze większy błąd, wyobrażając sobie siebie w jego ramionach. Raptem zalała ją fala złych wspomnień: Kyle Francis przygniata ją do ziemi. Ona leży przerażona, czując obrzydliwy zapach potu. Strach ściska ją za gardło. Na szczęście Logan niczego nie dostrzegł.

- Mimo to wolałbym nie deptać Dianie Devenish po palcach - przyznał się, przysuwając kieliszek do ust. - Cierpnę na myśl, że na oczach śmietanki towarzyskiej Sydney zrobię z siebie pośmiewisko.

- Mógłby pan wziąć kilka prywatnych lekcji - zasugerowała Sally, coraz bardziej spięta. Wciąż nie rozumiała, czego szef od niej oczekuje.

- Owszem. I tu liczę na pani pomoc.

- Moją?

- Na pani umiejętności.

- Ale ja... - Serce waliło jej niczym uwięziony ptak, który usiłuje odzyskać wolność.

- Tamtego dnia na warsztatach powiedziała pani, że stale chodziła pani na bale i potańcówki. Że zna sambę, walca, fokstrota...

- No, znam.

- Zakładam, że dobrze pani tańczy?

- Źle nie tańczę.

- Więc miałem nadzieję, że mnie pani nauczy.

Nie odezwała się.

- Wystraszyłem panią? - spytał Logan, obserwując ją uważnie.

Sięgnęła po kieliszek.

- Raczej mnie pan zaskoczył. - Zaskoczył? Była bliska paniki. Obraz Kyle'a ponownie stanął jej przed oczami.

- Jak sama pani zauważyła, cel jest szczytny. Pomogłaby pani dzieciom, takim jak pani bratanek. Oraz innym ciężej chorym. Nie wyobrażam sobie, jak to jest mieć dzieciństwo zniszczone przez chorobę.

Cel faktycznie był szczytny, jednak na samą myśl o tańcu dławił ją strach. Serce waliło jej młotem, pot spływał po plecach.

- Oczywiście chętnie zapłacę za lekcje. - Logan uśmiechnął się.

Psiakrew! Powinien wynająć instruktorkę z prawdziwego zdarzenia. Profesjonalistkę. Na pewno w Sydney są ich setki. Każda nauczyłaby go kroków, w dodatku byłby anonimowym uczniem.

Podejrzewała, że siostra Logana podsunęła mu ten pomysł, a on z jakiegoś powodu go odrzucił. Z drugiej strony... Hm, Sally zamyśliła się. Może udzielanie lekcji tańca pozwoliłoby jej raz na zawsze pokonać strach?

Kiedy miała jedenaście lat, spadła z konia. Była wystraszona i obolała; do dziś pamiętała koszmarny ból w żebrach i smak czerwonej ziemi w ustach. Mimo siniaków i obtarć, jakich się nabawiła, ojciec nalegał, aby wsiadła z powrotem na konia. Chociaż była dzieckiem, instynktownie czuła, że jeśli nie posłucha rady ojca, to strach przemieni się w fobię i już nigdy nie zazna przyjemności zjazdy konnej.

Teraz jest tak samo; powinna czym prędzej wrócić na parkiet. Uwielbiała tańczyć. Byłoby bez sensu, gdyby do końca życia unikała robienia czegoś, co kocha. Poza wszystkim innym po to przyjechała do Sydney: aby udowodnić, że doszła już do siebie.

Niemal słyszała, jak ojciec do niej przemawia: No, kwiatuszku, wstawaj, otrzep się i wskakuj na siodło. Nie myśl o siniakach. Teraz musi wstać, otrzepać się i wskoczyć na parkiet.

Najdziwniejsze było to, że Logan, zamiast wybrać anonimową nauczycielkę, zwrócił się akurat do niej.

- O czym tak pani дума? - spytał zaniepokojony.

Wzięła głęboki oddech.

- Że musimy znaleźć odpowiednią salę.

Na jego twarzy odmalowała się ulga.

- Zastanawiałem się nad tym - odparł. - Czy nie nadałaby się sala konferencyjna w Blackcorp? Można by zsunąć stoły pod ścianę.

- Chyba tak.

- Trzeba ustalić godziny. Oczywiście reszta pracowników nie musi wiedzieć o naszych spotkaniach. - Skierował na nią wzrok.

- Nie pisnę nikomu słowa - obiecała Sally.

- Najbardziej pasowałby mi wieczór. Albo weekend.

- Dobrze. Może być dowolny termin. Nie jestem jakoś szczególnie zajęta.

- Może w czwartek wieczorem? Wpół do ósmej?

Podniosła kieliszek.

- Jesteśmy umówieni. Niech pan pamięta o odpowiednim obuwiu.

- Słusznie. - Wyszczrzył zęby. - Dzięki za przypomnienie. Jeszcze bym przyszedł w tenisówkach.

- Będzie nam potrzebna muzyka.

- Ja się tym zajmę. Mam przenośny odtwarzacz. Przyjadę po panią.

Zamierzała poprosić go, by się nie fatygował, bo ona mieszka w Glebe, blisko stacji metra. Ale to jest jej szef. Chyba może mu zaufać?

Po kolejnym łyku wina wreszcie zaczęła się odprężyć. Te lekcje tańca nawet mogą być zabawne.

- Musi pan zdecydować, jakich tańców chciałby się pan nauczyć. Bo wszystkich nie damy rady. Swoją drogą, kiedy jest ten bal?

- Za niecałe dwa tygodnie. I wystarczy jeden taniec. Diana Devenish na pewno zna wszystkie, więc wybór należy do mnie.

- Świetnie. A zatem...?

Wzruszył ramionami.

- Jaki jest najłatwiejszy?

- To zależy od osobowości człowieka, jego budowy... - Przechyliwszy głowę, Sally zamyśliła się. - Moim zdaniem walc będzie dla pana najlepszy.

Wieczorem zadzwoniła Carissa.

- Pewnie się na mnie zezłosisz, ale wiem, gdzie można się zapisać na lekcje tańców standardowych.

- Nie zezłoszczę się - odrzekł spokojnym tonem Logan. - I doceniam twoje starania, ale niepotrzebnie tracisz czas. Już wszystko załatwione.

- Żartujesz?

- Jesteś zaskoczona?

- Zdziwiona. Znam twój stosunek do tańczenia i sądziłam, że będziesz zwlekał z zapisaniem się na lekcje. Kto cię będzie uczył?

- Pewna kobieta mieszkająca w Glebe - odparł gładko.

- Ma odpowiednie kwalifikacje?

- Wyluzuj, siostrzyczko. Wszystko będzie dobrze.

Rozłączyli się. Logana ogarnęły wątpliwości. Czy słusznie postąpił? Dlaczego wspomniał nowej pracownicy o swoim upośledzeniu? I dlaczego prosił ją, aby pomogła mu je pokonać?

Pewnie podróż na zachód zmęczyła go, osłabiła jego czujność. Bo jakie mogło być inne wytłumaczenie? Dziś rano wszedł do holu, spojrzał na Sally i rozsądek wyparował mu z głowy. Z drugiej strony dlaczego miałby nie zwrócić się do Sally o pomoc? Wprawdzie nie widział jej na parkiecie, ale była szczupła, pełna wdzięku i energii, do-

skonale komunikowała się z ludźmi... Oczywiście mógłby zatrudnić nauczycielkę tańca, ale nie chciał wykonywać poleceń obcej osoby przyzwyczajonej do entuzjastycznych uczniów.

Sally, która według Janet stanowi typ wrażliwy, lepiej zrozumie jego speszzenie i obawy. On zaś jako jej szef nadal będzie miał nad nią przewagę. Oczywiście, za lekcje zamierzał jej zapłacić.

Przez kilka kolejnych dni Sally żyła w stanie lekkiego oszołomienia. W ciągu dnia skupiała się na pracy, wieczorami w domu wygłaszała do siebie kazania. Tłumaczyła sobie, że w prośbie szefa nie powinna doszukiwać się żadnych ukrytych motywów. Zwrócił się do niej, bo w trakcie warsztatów zdradziła mu, że uwielbia tańczyć i że robi to od dziecka.

Wizyta w barze też nic nie znaczyła. Wypili kieliszek wina, omawiając transakcję handlową. Później Logan odwiózł ją do domu swoją luksusową limuzyną. Zachował się jak dżentelmen; był miły, uroczy, opowiadał jej o wielu fascynujących miejscach niedaleko Sydney.

Lekcje tańca niczego nie zmieniają. Owszem, Logan nauczy się kroków walca. Ale romans? Między bogatym prezesem firmy i skromną recepcjonistką, która całe życie spędziła na głuchej prowincji? To nie wchodzi w grę!

Ostatnia rzecz, o jakiej marzyła, to znaleźć się na długiej liście podbojów szefa, być kolejną z kobiet, które uszczęśliwia wspaniałym bukietem. Ciekawe, dlaczego któregoś z nich nie poprosił o kilka lekcji? Czyżby nauka tańca była poniżej godności tych ważnych dam? A może zwyczajnie w świecie chciał, aby nikt nie dowiedział się o jego drobnej niedoskonałości?

Tak czy owak, jedno nie ulega wątpliwości: kiedy rozpoczną lekcje, ich role się odwrócą. Ona będzie instruktorką, on uczniem. Ona dyrygentem, on członkiem orkiestry.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W czwartek wieczorem Logan zadzwonił do drzwi. Miał na sobie wytarte džinsy i jasnoniebieski T-shirt, którego kolor zbladł od wielokrotnego prania. Sally wytrzeszczyła oczy, zapominając o tym, że nie wypada się tak gapić. Nie mogła jednak się powstrzymać.

Logan wyglądał całkiem inaczej; był zrelaksowany, uśmiechnięty, jeszcze bardziej przystojny niż zwykle.

- Coś nie w porządku? - zapytał.

- Nie, nie - zaprzeczyła piskliwym głosem.

Wskazał na swoje nogi.

- Pamiętałem o butach.

Opuściwszy wzrok, zobaczyła, że ma na nogach skórzane sznurowane pantofle.

- O, doskonale.

W trakcie niedługiej jazdy po ciemnych pustawych ulicach starała się wykonywać ćwiczenia, które poznała na zajęciach jogi. Głęboki wdech, wydech. Wdech, wydech. Powoli, równomiernie. Wdech: raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Wydech: raz dwa, trzy, cztery, pięć.

Na szczęście Logan skupiony był na prowadzeniu i nie próbował zabawiać jej pasjonującą rozmową.

Wjechali na parking pod budynkiem firmy. W tym pustym podziemnym świecie tylko gdzieś paliło się światło. Ruszyli do windy. Ich kroki dudniły na kamiennej posadzce. Sally ogarnął strach. Zanim jednak zdążyła wpaść w panikę, wjechali windą na piętro. Kiedy Logan otwierał drzwi prowadzące do firmy, pojawił się ochroniarz.

- Wszystko w porządku, panie Black? - Popatrzył zdziwiony na Sally.

- Tak, Reg. W jak najlepszym. Panna Finch i ja pracujemy nad pewnym projektem.

Zamknawszy za sobą drzwi, przeszli holem do sali konferencyjnej; tam zsunęli stoły pod ścianę, by mieć środek wolny. Świadomość, że nie są w budynku sami, podziałała na Sally uspokajająco. Logan włączył odtwarzacz. Po chwili dźwięki walca Straussa wypełniły pomieszczenie.

- Może być?
- Trochę staroświeckie, ale mnie się podoba.
- Czyli wszystko gotowe. Co mam robić?

Widząc jego zdenerwowanie, Sally się odprężyła. To nie Logan Black skrzywdził ją na wiejskiej potańcówce. Teraz, gdy stał z wyczekującą miną, przejęty i niepewny siebie, w niczym nie przypominał chłodnego, aroganckiego prezesa Blackcorp Mining. Wiadać było, że wstydzi się swoich niedociągnięć, a jednocześnie pragnie je pokonać, by nie zawieść siostry.

Uśmiechając się ciepło, Sally podeszła do niego i ujęła za ręce. Lekki dotyk wystarczył, aby zakręciło się jej w głowie. Ignorując bicie serca, skoncentrowała się na nauce.

Zamierzała uczynić wszystko, aby swoim tańcem Logan olśnił gości.

To był zły pomysł. Bardzo zły.

Kiedy wzięła go za ręce, Logan uświadomił sobie, że może być ciężko. Po pierwsze, Sally miała na sobie cienką żółtą sukienkę bez rękawów o przylegającej do ciała górze i rozkloszowanej spódnicy, która przy każdym kroku falowała wokół jej nóg. Zapewne taki strój idealnie nadawał się do tańca, ale mógł stanowić utrudnienie w zachowaniu relacji służbowych.

Sally stała naprzeciw niego, spokojna, wyciszona, a on marzył o tym, aby zgarnąć ją w ramiona...

- Walc to taniec pełen elegancji i gracji - oznajmiła. - Niech się pan skupi chwilę na muzyce. Prawda, jak lekko i swobodnie płynie?

Próbował spełnić jej polecenie.

- Ważny jest rytm, takt...

- Bardzo ważny - przyznała. - On panu pomoże. Umie pan liczyć do trzech, panie Black?

W odpowiedzi wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

- Och, najmocniej przepraszam. Zapomniałam, że najbardziej lubił pan w szkole matematykę. Czyli kroki walca powinien pan opanować w mig.

- Mam jeszcze jedną prośbę: czy możemy mówić do siebie po imieniu?

Jej pewność siebie i poczucie humoru sprawiły, że przestał się denerwować. Czuł, że jest w kompetentnych rękach.

- Możemy - odparła, po czym ciągnęła: - Musisz liczyć do trzech. Słyszysz? Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Raz jest najważniejsze; trzeba je zaakcentować.

- Rozumiem.

- Drugą najważniejszą sprawą jest prawidłowa postawa.

Odruchowo Logan wysunął do przodu brodę, wyprostował ramiona.

- Tak wyglądasz jak ołowiany żołnierz. Nie usztywniaj się, musisz się lekko poruszać. - Oczy jej błyszczały. - I koniecznie utrzymuj ramę. Tylko wtedy Diana Devenish będzie się prezentować wspaniale.

Skrzywił się.

- Czyli cała odpowiedzialność spoczywa na mnie?

- Poradzisz sobie, Logan. A teraz połóż prawą rękę na mojej lewej łopatce.

Wykonał polecenie, ale gdy tylko poczuł pod palcami skórę Sally, wciągnął z sikiem powietrze i cofnął dłoń. Chryste, ona chyba żartuje! - przemknęło mu przez myśl. Po chwili umieścił dłoń niżej, na osłoniętym fragmencie ciała. Im dalej od gołej skóry, tym lepiej.

- Trzymasz mnie w talii. O wiele za nisko. - Sięgnąwszy za siebie, Sally podsunęła mu rękę wyżej. - Powtarzaj sobie: zapięcie od stanika. - Zmrużyła oczy. - Twoja ręka powinna tam bez trudu trafić.

Kropelki potu osiadły mu na czole.

- A teraz liczymy do trzech... - Urwała. - Dobrze się czujesz?

- Tak, świetnie - skłamał.

Kiedy trzymał rękę na plecach Sally, liczenie do trzech było równie łatwe jak wspinaczka na Everest.

- To zaczynamy. Raz, dwa, trzy. Lewa noga, prawa, lewa. Raz, dwa, trzy.

Udało się; okrążyli salę, a on nie podeptał Sally palców.

- Dobrze ci idzie, ale czeka nas jeszcze mnóstwo roboty, Powtarzamy. Raz zaakcentujemy mocniej, dwa i trzy stawiamy nogę lekko. Mocno, lekko, lekko. Mocno, lekko, lekko.

Ze dwa razy zderzyli się kolanami, ale znów nikt nikomu nic nie podeptał.

- Brawo! - zawołała Sally. - Załapałeś!

Z radości pewnie by ją pocałował, tyle że ona przystąpiła do udzielania kolejnych instrukcji.

- A teraz w dalszym ciągu podkreślamy pierwszy takt, ale tańczymy tak, jakbyśmy się ślizgali po syropie.

- Ślizgali po syropie?

- Tak. Utrzymujemy poprzednie tempo, ale kroki wykonujemy bardziej płynnie, takim ruchem posuwistym.

Odsunawszy się, zademonstrowała, o co jej chodzi.

- Mnie tak nigdy nie wyjdzie - mruknął.

- Nie bądź pesymistą.

- Jestem realistą.

Sally jednak nie zamierzała się poddać.

- Hm. - Przyłożywszy palec do ust, zmrużyła oczy i przez chwilę wpatrywała się w mężczyznę. - Jesteś znawcą trunków, więc pomyśl o walcu jak o pysznym czerwonym winie.

W oczach Logana pojawił się błysk rozbawienia.

- I to mi pomoże?

- Wyobraź sobie, że Diana Devenish to wyborny cabernet sauvignon. Obracasz nią, podziwiasz jej ruchy, jej piękno. Cały czas uważasz, aby nie wylać ani kropelki. Potem wolno zbliżasz kieliszek do ust i czujesz, jak wino gładko spływa ci do gardła. W tym czasie ty płyniesz po parkiecie...

- Spróbujmy.

Ponownie ujęła jego dłoń. Ona jest niesamowita, pomyślał Logan, kładąc rękę na jej plecach. Nie przyszłoby mu do głowy porównywać walca do wina. Skupił się. Tak, dostrzegł podobieństwo...

- Płynmy, Logan.

Ruszyli. Raz, dwa, trzy. Mocno, miękko, miękko. Sally była lekka jak piórko i pełna wdzięku. Wirując z nią po sali, wciągał zapach jej perfum. Sam nie wiedział kiedy, ale

w którymś momencie przestał się zadreć, wyzbył się lęków, zahamowań, i po prostu unosił się i opadał płynnie, w rytm muzyki.

Chyba Sally miała rację. Taniec faktycznie można porównać do picia dobrego wina. Ciekaw był, jak ona smakuje. Podejrzewał, że tak jak jedno z tych win, które w pierwszej chwili nie wzbudzają entuzjazmu, a o których potem się marzy. Tak, zdecydowanie pragnął poznać lepiej smak Sally Finch... Potknął się.

- Przepraszam - szepnął.

Raptem zorientował się, że nie potknął się z powodu własnej niezdarności czy nieuwagi, ale dlatego, że Sally zatrzymała się w pół kroku. Cofnęła się. Zaczerwieniona, drżąca, stała z dłońmi ukrytymi w fałdach spódnicy, z wzrokiem wbitym w podłogę.

- Doskonale ci idzie - pochwaliła go.

- Bo mam doskonałą nauczycielkę. - Chciał dodać jakiś komplement, ale obserwując ją, uświadomił sobie, że coś jest nie tak. I to bardzo.

Nie rozumiał, co się stało. Czy obejmował ją za mocno? Bo chyba nie miała zdolności telepatycznych i nie wiedziała, o czym rozmyślał?

Unikała jego spojrzenia. Zgasł błysk w jej oczach.

- Pewnie starczy na jeden wieczór - oznajmiła cicho.

Co mógł zrobić? Sprzeciwić się?

- Dobrze. Dziękuję. Jestem ci ogromnie wdzięczny.

Uśmiechając się smutno, obróciła się na pięcie, po czym przeszła na drugi koniec sali i wyłączyła odtwarzacz. Zaległa cisza jak makiem zasiał.

- Chciałbym ci zapłacić...

- Och, nie! - zawołała. - Z przyjemnością cię uczę, ale nie jestem profesjonalną tancerką.

Logan zaklął pod nosem. Sprawę honorarium powinien był załatwić bardziej elegancko.

- Będę potrzebował więcej lekcji.

Skinieniem głowy przyznała mu rację.

- Skoro nie chcesz pieniędzy, to może mógłbym zaprosić cię na kolację? - Dlaczego wcześniej na to nie wpadł?

- To niezbyt dobry pomysł - odparła Sally, wciąż uśmiechając się smutno.

- Dlaczego?

- Bo to by za bardzo przypominało randkę.

- Randka to nie zbrodnia.

- Jesteś moim szefem - przypomniała mu.

- To prawda. - Podrapał się po brodzie. Nagle pomysł niełączenia życia prywatnego ze służbowym wydał mu się bezsensowny. Co złego by się stało, gdyby wybrał się z Sally na kolację? Nic. - Ale spójrz na to z innej strony: poświęcisz kilka wieczorów, aby pomóc mi zgłębić tajniki walca. Chciałbym ci się odwdziaczyć.

- Czy na pewno nikt się temu nie sprzeciwi? - spytała, patrząc mu prosto w oczy.

- Niby kto? - zdumiał się.

- Kobieta, której kupujesz białe róże.

- O czym ty mówisz?

Niecierpliwym ruchem odgarnęła z twarzy włosy.

- Dobrze wiesz, o czym. W każdy piątek kurier dostarcza ci do biura bukiet białych róż. Przypuszczam, że nie zatrzymujesz ich dla siebie?

- Nie, nie zatrzymuję - przyznał. - Masz rację. Te kwiaty są dla pewnej niezwyklej kobiety.

Sally odwróciła wzrok.

- Czy ona wie, że bierzesz u mnie lekcje tańca?

- Nie.

- Przyznasz się jej, że zaprosiłeś mnie na kolację?

- Nie zastanawiałem się nad tym, ale czemu nie?

Jego spokój sprawił, że straciła pewność siebie. Rozejrzawszy się po sali, wzruszyła ramionami.

- Powinniśmy przesunąć na miejsce stoły.

- Zostaw. Sprzątaczkę ucieszą się, że mają pusty środek.

- W porządku. - Wyciągnęła wtyczkę z kontaktu, owinęła kabel wokół odtwarzacza i wręczyła sprzęt Loganowi.

- Dziękuję. To co z kolacją?

Zacisnęła powieki, jakby walczyła sama z sobą. Wystraszył się.

- Masz rację - oznajmił pośpiesznie. - Pewnie powinienem porozmawiać z kobietą, która w każdy piątek dostaje ode mnie bukiet.

Sally otworzyła oczy.

- Pojedź ze mną do niej, Sally - zaproponował. Obserwował różne emocje malujące się na jej twarzy: zdziwienie, wahanie, zaciekawienie. - Przekonasz się, kim ona jest. A ona z przyjemnością pozna ciebie.

- Tak myślisz?

- Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Przez chwilę milczała.

- Lubię jasne sytuacje. I nie chciałabym robić nic za plecami innej kobiety. Tam, skąd pochodzę, ludzie się nie okłamują.

- To godne pochwały - rzekł z poważną miną Logan. - Może zrobimy tak: pojedziesz ze mną jutro, kiedy będę wiózł kwiaty, poznasz damę mojego serca, opowiemy jej o lekcjach tańca, a potem wybierzemy się na kolację.

Sally długo rozważała jego propozycję. Logan wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź. Był pewien, że mu odmówi. A jednak się pomylił.

- Dobrze. To brzmi rozsądnie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Starła się skupić na pracy, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Ale nie była to prawda: wszystko się zmieniło, odkąd zaczęła wirować po parkiecie z Loganem Blackiem. Przede wszystkim odkryła, że jest w nim beznadziejnie zakochana. Kiedy położył rękę na jej plecach i poczuła żar bijący z jego ciała, przeszły ją dreszcze. Och, jak bardzo go pragnęła.

Niestety chwila szczęścia trwała krótko, albowiem nagle ożyły wspomnienia. Sally przypomniała sobie inny taniec, innego partnera. Wpadła w panikę.

Dzięki Bogu, że zdołała jakoś nad sobą zapanować. Że nie uciekła z krzykiem. Tylko że Logan ponownie zburzył jej spokój zaproszeniem na kolację.

Dla niego sprawa była prosta: chciał się odwdzińczyć za lekcje. Dla niej kolacja z Loganem była sprawą znacznie bardziej skomplikowaną. Każda kobieta wie, że umawianie się z szefem oznacza kłopoty. W dodatku koledzy z pracy podejrzewają, że wybrało się taką drogę, by awansować. Pomijając kolegów, pozostaje jeszcze kwestia białych róż.

Sally odczuwała niepokój: udać się na spotkanie z kochanką szefa, a potem pożegnać się z nią i pojechać z szefem na kolację? Dziwne.

Ale Logan zapewnił ją, że nikt się na nikogo nie obrazi. Jego stanowczość przeważała szalę. W końcu miał więcej do stracenia niż ona.

Myśląc o wieczornym spotkaniu, Sally czuła miły dreszczyk podniecenia, a zarazem lekki strach. Kiedy o wpół do siódmej Logan nacisnął dzwonek do drzwi, była kłębkiem nerwów. Miał na sobie sportowe beżowe spodnie, ciemną koszulę i cienką kurtkę, ona zaś małą czarną, a na nogach szpilki. Gdy wsiadała do auta, uderzył ją w nozdrza zapach wody kolońskiej. W samochodzie unosiła się woń róż, które leżały na tylnym siedzeniu.

W drodze do Clifton Logan usiłował nawiązać rozmowę, Sally jednak była zbyt spięta, by normalnie rozmawiać, i odpowiadała monosylabami. Po pewnym czasie się poddał i resztę trasy odbyli w milczeniu.

Strażnik otworzył wielką żelazną bramę, po czym przykładając palce do czapki, skinął głową na powitanie. Ruszyli długim żwirowym podjazdem, który wił się wśród zieleni.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Sally, rozglądając się z zachwytem.

- W Clifton.

Zza gęstej kępy drzew wyjechali na szeroki dziedziniec z piękną fontanną pośrodku. Okna piętrowego budynku połyskiwały złociście w promieniach zachodzącego słońca. Na lśniącej czarnej tablicy widniał wykonany złotymi literami napis: Clifton, a niżej drobniejszym drukiem: Dom Opieki.

Sally popatrzyła pytająco na Logana.

- Nie rozumiem...

Zaparkowawszy samochód między dwiema piaskowymi kolumnami, uśmiechnął się speszony.

- Właśnie tu w piątki przywożę bukiet.

- Czy ona, ta kobieta, którą kochasz, jest chora? Czy może jest właścicielką tego ośrodka?

- Jest... delikatnego zdrowia.

- To znaczy? Miała operację? Przyjechała tu na detoks?

- Skądże!

Logan zgasił silnik, wziął do ręki bukiet, po czym obszedł maskę. Sally wysiadła, zanim otworzył jej drzwi.

- Więc o co chodzi? Bo nic nie rozumiem.

Uśmiechnął się.

- Cierpliwości. Tupnęła gniewnie nogą.

- Nie zamierzam się stąd ruszyć, dopóki nie powiesz mi, co jest grane. Kim jest ta kobieta? Dlaczego przebywa w domu opieki? I dlaczego uśmiechasz się tak przebiegle?

- Brawo! - rozległ się głos za jej plecami.

Odwróciwszy się, Sally ujrzała drobniutką staruszkę o białych jak śnieg lokach, spod których wyzierały figlarne brązowe oczy. Staruszka siedziała w elektrycznie napędzanym wózku inwalidzkim.

- Lubię, jak młoda dziewczyna ma w sobie tyle ognia!

- Kochanie... - Logan schylił się i cmoknąwszy pomarszczony policzek, wręczył kobiecie na wózku białe róże. - Co ty robisz na dworze?

- Och, jest taki ładny wieczór. Pomyślałam sobie, że poczekam na ciebie przed domem. A teraz przedstaw mi tę interesującą młodą osobkę.

- Babciu, poznaj Sally Finch.

Sally westchnęła w duchu. Dlaczego nie odgadła, że wspaniały bukiet jest dla uroczej starszej pani? Dlaczego Kim lub Maeve nigdy na to nie wpadły? A Logan, niech go diabli, dlaczego pozwalał wszystkim myśleć, że zamawia kwiaty dla kochanki?

- Sally - kontynuował - przedstawiam ci Hattie Lane, moją cudowną, budzącą postrach babkę.

Tłumiąc w sobie złość, Sally uśmiechnęła się promiennie i uściśnięła wyciągniętą chudą dłoń.

- Miło mi panią poznać, pani Lane.

- Mnie ciebie również, złotko. I, proszę, zwracaj się do mnie po imieniu. Hattie.

- Idziemy. - Ignorując zaciekawione spojrzenie babki, Logan pchnął wózek w stronę frontowych drzwi. - Jeszcze mi się przeziębisz.

Dom nie przypominał żadnego domu opieki, które Sally znała; wyglądał jak elegancki hotel. Hattie zajmowała ogromny pokój z łazienką na parterze. Znajdowało się tu szerokie łóżko przykryte piękną haftowaną kapą, regał z książkami, a pod oknem, za którym rozciągał się widok na ogród, stał stolik i dwa fotele.

- Usiądź, Sally. - Hattie wskazała wysoki fotel obity jasnozielonym aksamitem. - Ten jest wygodniejszy.

Sally posłusznie zajęła miejsce, Logan zaś wstawił bukiet do kryształowego wazonu, po czym rozwiązał wstążkę, by kwiaty nie były tak ściśnięte.

- Dziękuję, kochanie. - Staruszka uśmiechnęła się ciepło do wnuka; w jej oczach migotały wesole iskierki. - Może nalałbyś nam po kieliszeczku sherry?

Logan podszedł do narożnej serwantki, z której wyjął trzy delikatnie pozłacane kieliszki oraz karafkę.

- Co to za okazja? - spytał.

- Jak to? Nigdy dotąd nie przedstawiłeś mi żadnej z młodych kobiet, z którymi się spotykasz.

Sally zerknęła na Logana, który zacisnął gniewnie usta. Był wyraźnie niezadowolony, że babka wyciągnęła niewłaściwe wnioski odnośnie ich relacji.

A dobrze mu tak! - pomyślała. Mógł się przyznać, komu kupuje kwiaty. Na razie jednak chciała wyprowadzić staruszkę z błędu, wyjaśnić, że nic jej z Loganem nie łączy. Zdenerwowana powiedziała:

- Nie jestem dziewczyną Logana. Pracuję w Blackcorp. Od kilku tygodni. Jako recepcjonistka. Parę dni temu Logan poprosił mnie, abym udzieliła mu kilku lekcji tańca. - Uff, ulżyło jej.

Hattie pokiwała głową. Wciąż promieniała radością.

- To bardzo ciekawe. - Posłała wnukowi czarujący uśmiech. - Wreszcie nauczysz się tańczyć.

Wzruszył ramionami.

- Podziękuj Carissie. Namówiła mnie, abym kupił bilety na bal charytatywny w szpitalu, chociaż dobrze wie, że tancerz ze mnie kiepski.

- Za to bardzo pojętny - wtrąciła Sally.

- Tylko patrzeć, jak będzie wirował po parkiecie! - oznajmiła ucieszona babcia.

- Idziemy na kolację - mówiła dalej Sally. - Ale to nie randka, tylko taka forma podziękowania...

- Och, cudownie! - wykrzyknęła Hattie.

Bojąc się, że starsza pani wciąż nie rozumie, co ich łączy, Sally otworzyła usta, by kontynuować, ale w tym momencie Logan wsunął jej do ręki kieliszek.

- Wypijmy zdrowie Hattie - zaproponował, wzrokiem ostrzegając ją, by już nic więcej nie mówiła, po czym zwrócił się do babki. - Twoje zdrowie, babuniu.

- Za Hattie - przyłączyła się Sally.

- I za was, kochani. - Staruszka popatrzyła na nich jak na dwoje dzieci, które swoją wizytą sprawiły jej ogromną przyjemność.

Sally, nieprzyzwyczajona do tak mocnych trunków, wypila malutki łyeczek. Hattie opróżniła pół kieliszka.

- Czyż one nie są urodziwe? - spytała, wskazując na róże.

- Są przepiękne - przytaknęła Sally.

- Wiesz, że Logan przywozi mi je co tydzień?

- Tak. To bardzo miłe.

- Jest strasznie rozrzutny. Czasem kwiaty nawet nie zdążą zwiędnąć; wtedy te z poprzedniego tygodnia oddaję moim przyjaciółkom. - Staruszka mrugnęła do Sally. - Kiedy Logan i Carissa byli dziećmi, hodowałam róże. Odmianę Bianca. Logan lubił bawić się w moim ogrodzie, więc ten bukiet przywodzi nam na myśl dawne czasy.

Sally zobaczyła przed oczami obraz kilkuletniego ciemnowłosego urwisa o brudnych kolanach ganiającego po ogrodzie. Urwis wyrósł na poważnego biznesmena, który każdego tygodnia przywozi babce kwiaty. Najśmieszniejsze było to, że nikt w Blackcorp nie wie, jak dobrym i kochającym wnukiem jest ich szef. Ilu mężczyzn odwiedza swoje mieszkające w domu opieki babcie?

Nagle Sally zorientowała się, że Hattie bacznie się jej przygląda. Uśmiechając się, zmieniła temat.

- Hattie, czy to prawda, co mówił mi Logan, że jesteś pianistką?

- Byłam. - Staruszka popatrzyła za swoje powykrzywiane artretyzmem palce. - Uwielbiałam grać na fortepianie. Teraz ledwo brzdąkam.

- Sally jest wielką miłośniczką Brahmsa - wtrącił Logan.

- Och, naprawdę?

Radość w oczach starszej pani sprawiła, że Sally poczuła się nieswojo. Czy to, że może słuchać bez końca jednego koncertu jednego kompozytora automatycznie czyni z niej jego wielką miłośniczkę?

- Ja... nie bardzo się znam na muzyce klasycznej.

- Nie szkodzi. Logan cię wszystkiego nauczy - oznajmiła Hattie. - To chyba sprawiedliwa wymiana? On ciebie muzyki, ty jego tańca?

- To było nie fair - powiedziała Sally w samochodzie, kiedy jechali do restauracji. - Powinieneś był mnie uprzedzić, że róże kupujesz dla babci.

W blasku świateł nadjeżdżającego z naprzeciwka auta Logan zobaczył grymas gniewu na jej twarzy.

- Dlaczego pozwoliłeś, aby wszyscy w firmie myśleli, że zamawiasz kwiaty dla kochanki?

- Tak myślą?

- Większość.

- Ich obraz mojej osoby jest stanowczo wyidealizowany. A kobiety, z którymi się umawiam, nie oczekują ode mnie romantycznych gestów.

Zmarszczyła z namysłem czoło.

- Jednak nie ukróciłeś plotki.

- Po pierwsze, biurowe plotki mało mnie obchodzą. Po drugie - uśmiechnął się - bukiet dla kochanki brzmi bardziej intrygująco niż bukiet dla babci. A po trzecie, Hattie jest moją rodziną. Nie mieszam spraw służbowych z prywatnymi.

- Więc dlaczego zabrałeś mnie z sobą?

Dobre pytanie. Wiele by dał, aby mądrze na nie odpowiedzieć. Po prostu zadziałał instynktownie, co było do niego niepodobne; nigdy nie kierował się kaprysem.

Właściwie wszystko, co robił, odkąd poznał Sally, było sprzeczne z jego naturą. Powinien wziąć się w garść.

- Wiedziałem, że przypadniecie sobie do gustu - odparł zgodnie z prawdą.

- Nie pomyliłeś się - przyznała Sally. - Hattie jest wspaniała. Ale skoro zawsze jeździsz do niej sam, nie boisz się, że wyciągnie niewłaściwe wnioski z tej wizyty?

Oj, wyciągnie, nie miał co do tego złudzeń. Kiedy zobaczył, jak się ucieszyła na widok Sally, wiedział, że popełnił błąd. Ale podczas tańca Sally rzuciła na niego jakiś urok i kiedy jej wczoraj zaproponował, aby mu towarzyszyła, pomysł wydawał mu się całkiem dorzeczny.

Owszem, później naszły go wątpliwości. Szybko je jednak rozwiązał. Sally Finch doskonale się ze wszystkimi dogaduje. Jej wizyta dobrze babci robi.

Współczuł staruszce. To straszne, że inteligentna, pełna życia kobieta, która zrobiła fantastyczną karierę muzyczną, mieszka w domu opieki. Ale Hattie nie mogła mieszkać ani samodzielnie, ani w domu córki; nie przepadała za swoim zięciem. Z kolei Loganowi i Carissie nie chciała się narzucać.

Teraz córka Hattie z mężem odbywali podróż po Australii. Carissa była zajęta rodziną i pracą, toteż Logan przyjął na siebie obowiązek doglądania babki.

Do dzisiejszego dnia zawsze odwiedzał ją sam. Przyjazd z Sally był ryzykowny. I szalony.

W ciemnym wnętrzu auta uśmiechnął się skruszony.

- Przepraszam. Powinienem był się przyznać, że chodzi o Hattie.

- Głupio mi, że wzięła nas za parę.

- Wyjaśnię jej wszystko podczas następnej wizyty.

Jeśli myślał, że tą obietnicą poprawi Sally humor, to był w błędzie. Westchnęła zirytowana i skrzyżowawszy ręce na piersi, utkwiała spojrzenie w mijanym krajobrazie.

Żeby nie spowodować wypadku, Logan starał się nie patrzeć na jej zgrabne nogi, lecz skupić na prowadzeniu.

Zarezerwował stolik w swojej ulubionej knajpce tuż nad samą zatoką. Marco, kierownik sali, nie gniewał się za spóźnienie. Powitał Logana jak starego przyjaciela i zaprowadził do stolika przy oknie.

Widok migoczących refleksów rozjaśniających ciemną tafłę wody, mostu oraz świateł miasta wzbudził zachwyt Sally. Logan nie mógł oderwać oczu od jej twarzy. Marco wcale mu się nie dziwił. Podawszy Sally serwetkę, popatrzył na Logana i pokiwał z uznaniem głową.

Logan powtarzał sobie w myślach, że to nie jest prawdziwa randka. Zaprosił Sally na kolację, ponieważ chciał się jej odwdziżyć za lekcje tańca.

Powtarzał sobie również, że Sally wcale nie jest w jego typie. Oszem, była ciepła, wielkoduszna, w dodatku wyglądała ponętnie w opiętej czarnej sukience, ale - i to mu właśnie przeszkadzało - była również niepoprawną idealistką.

On ma plany zawodowe. Dopóki ich nie zrealizuje, nie zamierza się z nikim wiązać, zwłaszcza z kimś takim jak Sally. Dziś będzie dla niej miły, ale zachowa dystans.

- Jaki cudowny lokal - powiedziała z uśmiechem, podziwiając surowy elegancki wystrój, śnieżnobiałe obrusy, jasne drewniane podłogi, nowoczesne oświetlenie.

- Mają rewelacyjnego kucharza. Francuza. Ale kuchnia jest międzynarodowa, a w karcie zawsze duży wybór dań.

Sally podniosła kartę. Im dłużej ją studiowała, tym większy mars pojawiał się na jej czole.

- Widzisz coś, co cię kusi?

- Wszystko. Ale te ceny! Za godzinną lekcję tańca mogłabym kupić tu talerz zupy, nic więcej.

Rany boskie! Chyba nie mówiła poważnie? Nagle dostrzegł złośliwy błysk w jej oczach i domyślił się, że Sally stroi sobie z niego żarty. Podjął grę.

- Moim zdaniem cały posiłek to równowartość, hm, dwóch lekcji.

Sally ponownie utkwiała spojrzenie w menu.

- Ale wina nie zamawiamy. To by za bardzo podniosło cenę.

- Chyba żebyś towarzyszyła mi na balu?

- Nie mówisz tego poważnie?

Ona ma rację. Jak to możliwe, że z czymś takim wyskoczył? Nie był przecież człowiekiem impulsywnym.

- Nie mówmy o tym teraz - rzekł, usiłując wziąć się w garść. - Jest piątek wieczór, siedzimy w restauracji. Zjedzmy w spokoju dobrą kolację.

- Dobrze - zgodziła się potulnie.

Bał się, czy jej nie uraził. Nie wyglądała jednak na obrażoną i w efekcie spędzili bardzo przyjemny wieczór. Kolację zaczęli od doskonałej zupy z porów, potem Sally zamówiła wyborny sznycel w parmezanie, a on wyśmienitą jagnięcinę po grecku. Na deser on się skusił na mus czekoladowy, a ona na tartę cytrynową.

Podczas posiłku rozmawiali o miejscach, które widzieli, o przeczytanych książkach i obejrzanych filmach. Słuchając dowcipnych komentarzy Sally, Logan kilka razy wybuchnął śmiechem. Nie poruszali żadnych tematów osobistych. Oboje mieli świadomość, że nie są na randce.

Drobny problem pojawił się dopiero wtedy, gdy przysiadł się do nich szef kuchni, Michael. Był on starym przyjacielem Logana; wieczorem, kiedy lokal pustoszał, miał zwyczaj przysiądać się z filiżanką kawy. Loganowi to nie przeszkadzało; lubił towarzystwo Francuza.

Michael, który miał duszę romantyka, zmierzył Sally wzrokiem i złożył pocałunek na jej dłoni. Oczy mu lśniły.

- Miło mi panią poznać, *mademoiselle* - szepnął z seksownym francuskim akcentem.

Sally zatrzepotała rzęsami, a Logan z trudem się powstrzymał, aby nie syknąć: spadaj!

- Jest pan fantastycznym kucharzem - pochwaliła Francuza. - Jedzenie było doskonałe.

Michael przycisnął rękę do serca.

- Inspiruje mnie świadomość, że tak pięknym kobietom jak pani smakują moje dania.

- Często tu bywasz? - Sally zwróciła się do Logana.

- On ma znakomity gust - dodał Michael, entuzjastycznie klepiąc przyjaciela po ramieniu.

- I dzięki swym towarzyszkom dostarcza panu mnóstwo inspiracji. - W oczach Sally pojawił się figlarny błysk.

- Owszem, ale dziś przeszedł samego siebie!

Logan uznał za stosowne wyprowadzić Francuza z błędu.

- Sally pracuje u mnie w firmie. Łączą nas relacje służbowe.

Michael wytrzeszczył oczy.

- Co takiego? Służbowa kolacja w piątkowy wieczór? To barbarzyństwo!

Logan zmusił się do uśmiechu.

- Masz rację, przyjacielu. Trudno skupić się na interesach, kiedy spożywa się tak wyśmienite potrawy.

Michael ponownie utkwiał spojrzenie w Sally.

- A pani, *mademoiselle*? Czy myślała o interesach, czy oczarowały ją moje talenty kulinarne?

- Och, zdecydowanie oczarowały.

Uradowany kucharz poderwał się od stolika.

- Brawo! Widzisz, Logan? Ta młoda dama wszystko rozumie. Poza tym obserwowałem was z kuchni. Nie przyszedłeś tu służbowo. My, Francuzi, wyczuwamy takie rzeczy.

Logan zacisnął zęby. Na wszelki wypadek Michael uznał, że lepiej się pożegnać. Ponownie uniósł do ust rękę Sally, skinieniem głowy pożegnał przyjaciela i oddalił się pośpiesznie.

- Czasem bywa zarozumiała - mruknął Logan, kiedy zostali sami.

- Nic dziwnego, skoro tak świetnie gotuje.

- Kolejna osoba, która wzięła nas za parę.

- No trudno. - Sally wzruszyła ramionami. - Ale my znamy prawdę. I to najważniejsze.

- Tak. To najważniejsze - przyznał.

Sam nie wiedział, dlaczego czuje się tak paskudnie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zimny wiatr targał jej włosy. Spędziła z Loganem magiczny wieczór. Dlaczego więc nie czuła się szczęśliwa? Był zrelaksowany, coraz częściej się do niej uśmiechał, widziała błysk w jego oczach, kiedy na nią patrzył.

Najpierw odwiedzili Hattie. Logan nie krył zadowolenia, że przypadły sobie do gustu. Kolacja była miłą kontynuacją wieczoru. W dodatku okazało się, że Logan z nikim nie jest na poważnie związany.

Różne przeszkody i bariery kolejno znikaly; w głębi serca Sally czuła, że dla nich obojga ten wieczór wiele znaczy. Bez względu na to, jak bardzo się przed tym bronili, coś ich do siebie przyciągało.

Kiedy jednak do stolika dosiadł się szef kuchni, delikatna równowaga została zburzona. Sally ocknęła się, spojrzała prawdzie w oczy. Nie rób sobie nadziei, dziewczyno, powiedział głos rozsądku. Potraktuj dzisiejszy wieczór jak bajkę. Prezes firmy nie zakocha się w recepcjonistce.

Kiedy wsiedli do samochodu i światła restauracji pozostały daleko w tyle, Sally uświadomiła sobie, co się stało. Przy Loganie wyzbyła się lęku, odprężyła się, niestety przy okazji zapomniała również, że pochodzą z dwóch nieprzystających do siebie światów.

Najgorsze było to, że wiedziała o tym od początku. Czymże dziewczyna z prowincji, która dopiero przyjechała do wielkiego miasta, może zaimponować biznesmenowi? W Sydney roiło się od kobiet, które nadawały na tych samych falach co Logan, które miały mu więcej do zaoferowania niż lekcje tańca.

Ona nigdy im nie dorówna. Trzeba mieszkać w mieście wiele lat, zanim człowiek pozbedzie się prowincjonalnych nawyków i nabierze miejskiej ogłady. Co z tego, że Logan sprawiał dziś wrażenie wyluzowanego, a nawet szczęśliwego? Przyjemnie spędzili wieczór i tyle.

Po wyjściu z restauracji ruszyli w stronę samochodu. Ponieważ milczeli, wszystko wkoło zdawało się rozbrzmiewać ze zdwojoną siłą: odgłos kroków na chodniku; wytwo-

rzony przez motorówkę fale uderzające w mur; dźwięk syreny sygnalizującej, że za moment prom odpłynie od brzegu. Nagle wzmógł się wiatr.

- Zimno ci - powiedział Logan i ignorując jej protesty, okrył ją swoją kurtką.

- Dziękuję - szepnęła i ponownie zadrżała, czując na ramionach jedwabistą podszewkę nagrzaną ciepłem jego ciała.

Raptem za nimi rozległ się odgłos biegnących po chodniku ludzi. Logan w odruchu opiekuńczym natychmiast przygarnął Sally do siebie. Wyminęła ich grupka młodych roześmianych osób, które chciały zdążyć na ostatni prom.

- Jeszcze ją zatrzymaj - rzekł, wskazując na kurtkę.

Otworzył kluczykiem drzwi. Utkwiła w nim spojrzenie; na widok jego śniadej twarzy oświetlonej księżycowym blaskiem wstrzymała oddech.

To nie jest randka. Nie pasujecie do siebie, powtórzyła w myślach. Serce zabiło jej mocniej. Logan pochylił głowę, zanurzył rękę w jej włosach. Wiedziała, że zaraz ją pocałuje. Zamarła w bezruchu, może odrobinę bliżej przysunęła usta...

- Sally... - Pożerał ją wzrokiem.

Ponownie wstrzymała oddech. Czekwała w napięciu. Krew dudniła jej w skroniach. I nagle ujrzała smutek w oczach Logana. Mruknąwszy coś pod nosem, opuścił rękę i cofnął się o krok.

Płonąc ze wstydu, Sally wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi. Łzy piekły ją pod powiekami. Jak mogła być tak głupia? Jak mogła myśleć, że ją pocałuje? Cały wieczór przekonywali się nawzajem, że nie są na randce; że kolacja to „zapłata” za lekcje tańca.

Odwiózł ją do domu, odprowadził do drzwi. Nie zaprosił go do środka.

- Dziękuję za kurtkę - powiedziała, zwracając mu jego własność. - I za miły wieczór.

- Mnie też było bardzo miło. - Zamierzał odejść, ale nagle sobie coś przypomniał. - Odnosnie kolejnej lekcji... Zapomniałem sprawdzić swój terminarz. Dam ci znać w poniedziałek, dobrze?

Gdyby miała odrobinę zdrowego rozsądku, wyjaśniłaby, że nie może kontynuować z nim lekcji.

- Oczywiście - odparła cicho. - Wciąż brakuje ci tanecznej oglądy. Przyjemnego weekendu!

- Dzięki, Sally. I nawzajem.

Przez cały weekend rozmyślała o pocałunku, do którego nie doszło. Żeby nie zwariować, zaprosiła Annę z dziećmi na niedzielny lunch, a potem w czwórkę wybrali się do parku nad zatoką pohuścić się i nakarmić kaczki.

W poniedziałek rano Logan zjawił się w firmie, dzierząc przy uchu telefon. Mijając recepcję, skinął Sally głową i po chwili znikł jej z pola widzenia.

Czyli wszystko po staremu. A czego się, głupia, spodziewałaś?

Maeve wpadła w podskokach, radośnie uśmiechnięta. Spędziła ze swoim geologiem weekend w Górach Błękitnych i było tak romantycznie! Sally bez powodzenia starała się zdusić w sobie uczucie zazdrości.

Przyjaciółka opisywała jej hotel z widokiem na zapierającą dech w piersi dolinę Megalong, kiedy w drzwiach ukazała się Maria Paige.

Sally nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale zawsze w obecności sekretarki szefa czuła się nieswojo. Traktując Maeve jak powietrze, Maria podeszła do lady i położyła na niej stos dyskietek.

- Kochanie, bądź tak dobra i przegraj to wszystko na swój komputer.

Kochanie? Sally o mało się nie zakrztusiła. Wiedziała, że nie musi wykonywać poleceń wydawanych jej przez sekretarkę Logana, ale nie chciała mieć w niej wroga.

- No, nie miej tak wystraszonej miny. Potrzebne mi są kopie zapasowe. Ze względów bezpieczeństwa.

- Oczywiście. Już się do tego zabieram.

Wykrzywiwszy wargi w uśmiechu, Maria odwróciła się i znów ignorując Maeve, skierowała się z powrotem tam, skąd przyszła. Maeve odprowadziła ją wzrokiem, po czym przewróciła oczami.

- Pamiętaj, Sally, że jesteś tylko małą płótką.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że Maria ma ostre zęby. I może cię pożreć.

- Nie bądź złośliwa. Może Maria nie jest jak do rany przyłóż, ale pracując dla kogoś takiego jak Logan, to znaczy pan Black, na pewno żyje w ciągłym stresie.

Maeve pokręciła głową.

- Obserwuję ją od dwóch lat. Prędzej czy później ona wbije komuś nóż w plecy. Po prostu miej się na baczności.

Nie zważając na słowa przyjaciółki, Sally przystąpiła do pracy. O wszystkim zapomniała - o ostrzeżeniu Maeve, o prośbie Marii - kiedy zadzwonił Logan.

- Przepraszam, wcześniej nie dałem rady - zaczął. - Czy kolejną lekcję moglibyśmy odbyć jutro wieczorem?

Czy zdoła wytrzymać godzinę tortur? Wiedziała, że powinna się wykręcić; powiedzieć, że obiecała zaopiekować się Oliverem i Rose. Ale to nie było w jej stylu. Poza tym Loganowi przydałaby się jeszcze jedna lekcja. Nie mogła go zawieść. Świadoma, że sama siebie skazuje na cierpienie, zapewniła szefa, że tak, wtorkowy wieczór jej pasuje.

Nie szło mu, nie mógł się skupić. W połowie lekcji niemal gotów był się poddać.

Dziwne. W porównaniu z pierwszą lekcją dziś powinno mu być znacznie łatwiej. Po pierwsze mniej więcej już wiedział, jak stawiać nogi, a po drugie Sally zrezygnowała z żółtej sukienki z dekoltem na plecach na rzecz zwykłego T-shirtu z długimi rękawami i chłopięcych dżinsów.

Teoretycznie więc nic go nie kusiło, żaden widok gołych ramion czy nóg. Sally była zakryta od stóp do głów. Mimo to nie potrafił skoncentrować się na tańcu. Wyczuwał pod palcami ciepło bijące z jej ciała, wdychał zapach jej włosów, skóry. No i był świadom jej pięknie wykrojonych ust. Uśmiechały się tak ponętnie.

Najbardziej ciążyła mu własna nieporadność, która powodowała, że co rusz zderzał się z Sally. Każdy najlżejszy kontakt, każde przypadkowe muśnięcie przyprawiało go o dreszcze. W przeszłości, kiedy jakaś kobieta wzbudzała w nim pożądanie, przystępował do działania. Tyle że starannie dobierał obiekt uwodzenia: szukał kobiet pragmatycznych, które dla seksu czy miłości nigdy nie zrezygnowałyby z kariery.

Ale w przeszłości nie znał Sally Finch. Słodkiej, uroczej i bardzo niebezpiecznej Sally.

Instynktownie czuł, że jeśli wyląduje z nią w łóżku, będzie chciał ją w nim zatrzymać na zawsze. A takiej możliwości nie przewidywał jego pięcioletni plan.

- Logan, prowadź ciałem, nie nogami - usłyszał polecenie.

Strużka potu pociekła mu po plecach. Jeśli będzie prowadził ciałem, to znów się zderzy z Sally.

- Patrz w lewo, żebyś widział, co jest przed tobą.

Popatrzył w lewo.

- Uśmiechaj się.

- Nie mogę. - Za wiele od niego żąda.

Utwórz, w rytm którego tańczyli, dobiegł końca.

- Świetnie było - pochwaliła Sally.

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście. Już prawie opanowałeś walca. - Podeszła do odtwarzacza. - Zastanawiałeś się, jakich innych tańców chciałbyś się nauczyć?

- Innych?

- Cały wieczór zamierzasz tańczyć tylko walca?

- Zamierzam zatańczyć tylko raz.

- Nie żartuj, Logan. A resztę wieczoru będziesz siedział?

- Tak.

- Twoja partnerka będzie zawiedziona. Na balach się tańczy.

Zawiedziona? Nie miał partnerki na bal. Do tej pory nawet nie zaczął jej szukać. Po pierwsze, sam bal kojarzył mu się raczej z obowiązkiem niż przyjemnością, a po drugie, żadna z kobiet, z którymi się spotykał, jakoś mu nie odpowiadała jako partnerka do tańca.

Sally przez chwilę wciskała przyciski, aż znalazła muzykę nowoczesną, rytmiczną.

- Może spróbujemy disco? - Uśmiechnęła się szeroko. - Chodzisz do klubów, prawda?

- Od czasu do czasu. A na balu disco jest dozwolone? - spytał, próbując przekrzywić perkusję.

- Zdziwiłabym się, gdyby nie puścili paru takich kawałków. W końcu nie żyjemy w dziewiętnastym wieku. - Na zmianę to wyginała się, to podskakiwała. - No, przyłącz się do mnie, Logan. Pokaż, co umiesz.

Wolałby stać i patrzeć na nią. Była taka śliczna, taka wdzięczna i pełna życia. Ale kołyszając zmysłowo biodrami, podeszła bliżej i wyciągnęła do niego rękę.

- Nie musisz krążyć po parkiecie.

Speszony zaczął wykonywać jakieś niezdarne ruchy.

- Zamknij oczy - poleciła mu. - Zapomnij, że tu jestem. Po prostu wczuj się w rytm.

Pomogło. Łatwiej było, gdy jej nie widział.

- Rozluźnij mięśnie. - Głos Sally rozległ się tuż obok. Kiedy uniósł powieki, ujrzał jej wyginające się ciało. - No... - obdarzyła go uśmiechem - zapomnij, że jesteś panem prezesem i daj czadu.

Ujmując jego rękę, przyciągnęła go do siebie. Nie wytrzymał. Pokusa okazała się zbyt silna. Postąpiwszy krok w jej stronę, zgarnął Sally w ramiona i przywarł ustami do jej warg.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Znieruchomiała. Wszystko w niej zastygło, kiedy Logan ją pocałował. Ogarnął ją strach, przypomniawszy sobie bowiem inny wieczór, innego mężczyznę, który z nią tańczył, i inny pocałunek, który obrócił się w koszmar.

Po chwili jednak strach ustąpił miejsca rozsądkowi. Logan Black to nie Kyle Francis. Różnili się jak dzień i noc. Dziś tańczyła z Loganem, nie z Kyle'em. Z Loganem, którego знаła. Z którym wiele razy była sam na sam. Który przedstawił ją swojej babci.

Objęła go za szyję. Już się nie wahała, była w siódmym niebie. Całował ją leniwie, niespiesznie, jakby dokładnie wiedział, czego ona pragnie. Jedną rękę wsunął w jej włosy, drugą przyciągnął ją do siebie. Dobrze, że ją podtrzymał, bo nogi miała jak z waty.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak bezpiecznie, a zarazem tak seksownie. Miała ochotę owinać się wokół Logana i...

Nagle zeszywniał. Uniósł głowę, przerywając pocałunek. Sally zamrugała i zobaczyła, że Logan patrzy w kierunku drzwi. Były otwarte. W progu stał strażnik z zakłopotaną miną. Powiedział coś, ale muzyka zagłuszyła jego słowa. Sally podeszła do stołu i wyłączyła odtwarzacz.

- Ja... bardzo przepraszam, panie Black. - Strażnik, czerwieniąc się straszliwie, po drapał się po łysej głowie. - Usłyszałem muzykę i pomyślałem, że może włamali się jacyś chuligani.

Logan nie odezwał się. Mrużąc oczy, łypał gniewnie na intruza. Czuł się paskudnie, a wszystko to wina Sally. To ona puściła tę muzykę, a potem, kołysząc biodrami, namawiała go, aby się odprężył i poszalał.

- W porządku, Reg - oznajmił wreszcie. - Nie było żadnego włamania. A my już kończymy.

- To ja już pójdę. - Strażnik, którego mina wciąż zdradzała niedowierzanie, wycofał się, zamykając drzwi.

Logan obrócił się i napotkał wzrok Sally. Przez chwilę stali w milczeniu. Po paru sekundach, które ciągnęły się w nieskończoność, Logan uśmiechnął się cierpko.

- Przepraszam. Nie powinien był cię całować.

A więc to tak, pomyślała Sally. Uznał pocałunek za błąd, o którym trzeba jak najszybciej zapomnieć.

- W porządku. - Wzruszyła ramionami. - To przez tę muzykę.

Skinął głową, wyraźnie zadowolony z jej reakcji.

- Na dziś starczy - powiedział. - Odwiozę cię do domu.

Wciąż oszołomiona pocałunkiem, a potem jego nieoczekiwanym zakończeniem, wyciągnęła wtyczkę z kontaktu. Bez słowa wrócili na parking.

- W schowku na mapy jest płyta, która powinna cię zainteresować - powiedział, zanim przekręcił kluczyk w stacyjce. - Zamierzałem wcześniej ci ją pokazać.

Sally popatrzyła na okładkę.

- „Przy fortepianie Hattie Lane” - przeczytała. - Ojej, możemy teraz posłuchać?

Logan wrzucił wsteczny bieg i wyjechał z parkingu.

- Weź ją do domu.

Włączyli się w wieczorny ruch. Sally obróciła się w fotelu i przez moment wpatrywała w regularny profil swego szefa. Co za dziwny człowiek! W jednej minucie odsuwa się od niej i zachowuje tak, jakby pocałunek był wypadkiem przy pracy, a w następnej uchyla drzwi do swojej prywatności i dzieli się kawałkiem swojego życia. Czy miał świadomość, jak mieszane sygnały wysyła?

- À propos balu... - rzekł, zatrzymując się przed jej domem.

Sally zamarła. Boże! Chyba nie zamierza prosić ją o jeszcze jedną lekcję? Ona dłużej nie wytrzyma stresu; to było dla niej zbyt trudne, zbyt bolesne.

Logan tymczasem popatrzył na nią, po czym spokojnie, jakby rozmawiali o pogodzie, kontynuował:

- Może miałabyś ochotę wybrać się ze mną?

Sally nie odezwała się.

- Wspominałaś, jak bardzo lubisz bale, a ten zanoszą się na wielkie wydarzenie - dodał z czarującym uśmiechem. - Jestem pewien, że ci się spodoba.

- Ale ja... my...

- Zasłużyłaś na to, żeby tam być.

Wiedziała, że od człowieka, który wysłał tyle mylących sygnałów, powinna trzymać się z daleka; powinna podziękować za zaproszenie i zdecydowanie mu odmówić.

Przerażała ją to, że nie potrafi. On zaś zacisnął rękę na kierownicy.

- Potwornie się denerwuję na myśl o tańcu z Dianą Devenish. Przydałoby mi się wsparcie psychiczne. - Ponownie błysnął zębami w uśmiechu.

Sally przełknęła ślinę.

- Byłabym jak taki trener, który stoi poza boiskiem i samą swoją obecnością dopinguje zawodnika?

- No właśnie.

Ratunku! Bała się, że zaraz ulegnie.

- Ale ten bal... to nie kameralne spotkanie, tylko bardzo huczna impreza. Gdybym ci towarzyszyła, wszyscy w Blackcorp by się o tym dowiedzieli.

- I tak się dowiedzą. Wątpię, żeby strażnik okazał się dyskretny. To jak?

- Sama nie wiem. - Jedno nie ulegało wątpliwości: Logan Black potrzebuje jej pomocy.

Popatrzyła na płytę, którą trzymała w dłoni. Okładka przedstawiała elegancką ciemnoką kobietę w obcisłej srebrnej sukni siedzącą przy fortepianie. Kobieta na zdjęciu miała około czterdziestu lat; trudno było rozpoznać w niej babcię Logana. Myśląc na głos, Sally stwierdziła:

- Zresztą nie miałabym co włożyć.

Logan roześmiał się cicho.

- To nie problem. Moja znajoma Agathe prowadzi w Rose Bay doskonały butik. Na pewno coś ci znajdzie.

W Rose Bay? Ceny tam są horrendalne!

- Oczywiście za wszystko zapłacę.

- Wykluczone - zaprotestowała Sally. - Nie mogłabym na to pozwolić.

- Nie kłóć się ze mną, Sally. Naprawdę wyświadczyłabyś mi ogromną przysługę.

- Łatwiej byłoby mi się zgodzić, gdybyś mnie dziś nie pocałował.

- Masz rację. Posłuchaj, nie jestem draniem. Naprawdę nie oczekuję, że pójdziesz ze mną do łóżka dlatego, że cię zaprosiłem na bal.

Zaczerwieniła się.

- Wcale cię o to nie podejrzewałam. - W ustach jej zaschło. - Ale dobrze, że to powiedziałeś. Lubię jasne sytuacje.

Zadrżała, ale nie ze strachu. Loganowi mogła ufać. Wiedziała, że jej nie oszuka. Długie rozmowy podczas warsztatów, godziny spędzone na nauce tańca, wizyta u Hattie, kolacja, pocałunek... Ani razu Logan nie dał jej powodu, aby się go bała.

Dostrzegła błysk wesołości w jego oczach.

- Co cię śmieszy?

- Nie mogę uwierzyć, że z własnej nieprzymuszonej woli tak ładnej dziewczynie przypinam łątkę „Nietykalna”.

Nietykalna? Poczuli się zawiedziona. Pragnęła mu powiedzieć, że wcale nie chce być nietykalna. Że jego dżentelmeńska deklaracja bynajmniej jej nie cieszy.

- To co, zgadzasz się? Pójdiesz ze mną na bal?

Czuła, jak jej opór topnieje. Poza wszystkim innym była dumna ze swojego ucznia. Uczniwie przykładał się do pracy; zaczynał od zera, a teraz... Marzyła o tym, aby zobaczyć, jak wiruje po parkiecie z Dianą Devenish.

- Sally, błagam, zlituj się nade mną.

- Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz, to litość.

Nagle usłyszała głos Chloe: Na co czekasz? Przyjechałaś do Sydney, żeby odmienić swoje życie. Więc korzystaj z okazji.

- Dobrze - oznajmiła w końcu. - Pójdę. - Już otwierała drzwi, kiedy nagle coś sobie przypomniała. - Bal jest w piątek wieczorem. Pomyśl, jak dostarczyć Hattie róże.

Uśmiechnął się.

- Dzięki. Kochana jesteś.

Zaparzyła sobie filiżankę herbaty, dodała łyżeczkę cukru, odrobinę mleka, przeszła do salonu i nastawiła płytę z koncertem Hattie. Cudowne dźwięki fortepianu wypełniły przestrzeń; wznosiły się, opadały, płynęły.

Sally przymknęła oczy. Widziała tarczę księżyca odbijającą się w tafli wody, pierwsze promienie słońca oświetlające krzewy.

- Och, Hattie - szepnęła, osuwając się na fotel. - Nie miałam pojęcia...

Wyobrazila sobie Hattie, mloda, utalentowana, piekna, i malego Logana bawiacego sie w ogrodzie pelnym kwitnacych bialych roz. Czula z nimi dziwna wiez. Dzis Hattie jest krucha, stara, pomarszczona, Logan za s wysoki, silny i meski. Westchnela. I nagle, bez zadnego racjonalnego powodu, wybuchnela placzem.

Nazajutrz wieczorem zadzwonila do Clifton i spytala, czy moglaby mowic z pania Hattie Lane.

- Halo? - powiedzial do sluchawki drzacy glos.

- Hattie?

- Tak.

- Tu Sally Finch. Logan pozyczyl mi jedna z twoich plyt. Chcialam ci powiedziec, ze jestem nia zachwycona.

- Dziekuje, Sally. To mi lo, ze zadzwonilas.

- Grasz przepieknie. Po prostu brak mi slow. Ogarnelo mnie tak wielkie wzruszenie, ze az sie poplakalam.

- Dziekuje, kochanie. Czy dobrze zrozumialam, ze Logan pozyczyl ci te plyte?

- Tak.

- No, no. - W glosie staruszki pojawila sie nuta rozbawienia. - Podobno idziesz z nim na wielki bal?

Alez wieci sie szybko rozchodza, pomyslala Sally.

- Tak, to prawda. Logan ci powiedzial?

- Jego siostra, Carissa, zadzwonila do mnie po poludniu. Szczeka jej opadla, kiedy oznajmiam, ze bylas u mnie z Loganem. - Hattie rozesmiala sie weso lo, po chwili dodala juz powazniej: - Badz ostrozna, kochanie.

- Ostrozna? Hattie, co masz na myśli?

- Ach, nic takiego.

- Powiedz, prosze. Czy jest cos, o czym powinnam wiedziec?

W sluchawce nastala cisza.

- Moj wnuk nigdy by swiadomie ci nie skrzywdzil - rzekla w koncu staruszka. - To dobry chlopak o wielkim sercu. Gdyby nie jego pomoc, nie stac by mnie bylo na ten

piękny dom opieki, a jego rodziców na podróż po Australii. Obawiam się jednak, że on jest zbyt skupiony na karierze. Nie chce popełnić błędów ojca.

Sally korciło, żeby spytać, jakie błędy popełnił ojciec Logana, ale nie chciała być wścibska.

- Tylko ktoś naprawdę wyjątkowy mógłby sprawić, aby Logan zboczył z obranego kursu - kontynuowała Hattie. - A ty, kochanie, jesteś wyjątkowa.

Gdyby Sally lepiej знаła staruszkę albo gdyby rozmawiały twarzą w twarz, może poprosiłaby ją o wyjaśnienie. Jaki kurs? I dlaczego Logan miałby z niego zbaczać? Ciekawe, czy Hattie zakładała, że wszystkie dziewczyny, z którymi umawiał się jej wnuk, marzyły o tym, aby go poślubić?

- Ja na pewno nie - szepnęła Sally, odkładając słuchawkę.

Może jest zakochana, ale twardo stąpa po ziemi.

TLR

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Minęła osiemnasta, a Logan wciąż tkwił przy biurku. Ilekroć podnosił głowę, woda w zatoce stawała się odrobinę ciemniejsza i zapalało się coraz więcej latarni. Teraz na widocznym przez okno moście panował ogromny ruch. Też powinienem wracać do domu, pomyślał, ale chciał skończyć pisanie oferty. Wolał to zrobić w biurze. Dom stanowił swojego rodzaju sanktuarium, azyl od wszelkich spraw związanych z biznesem.

Jeszcze kwadrans i się upora. Ponownie wbił wzrok w rzędy cyfr na ekranie komputera.

- Puk, puk!

Obrócił się zaskoczony.

- Sally? - W ostatnim czasie na samą myśl o niej uśmiechał się szeroko. - Co tu robisz o tej porze?

- Czekam, żeby z tobą porozmawiać.

- Naprawdę? To przepraszam, gdybym wiedział... - Zmarszczył czoło. - Ale mogłaś wcześniej zajrzeć. Maria wie, że personel zawsze ma do mnie dostęp. Albo mogłaś zadzwonić.

Zobaczył, że trzyma w ręku płytę.

- Nie chciałam, aby ktoś podsłuchał naszą rozmowę.

- Rozumiem. - Nagle zaniepokoił się. - Chyba nie zmieniłaś zdania? Wybierasz się ze mną na bal?

- Tak. - Podniosła głowę. - Nie wycofałabym się w ostatniej chwili. Dostarczono mi suknię. Jest wspaniała.

- Cieszę się, że ci się podoba.

- Przyszłam w sprawie służbowej. - Wskazała na płytę.

- Usiądź, proszę. - Wcale nie miał ochoty zachowywać się urzędowo; marzył o tym, aby zgarnąć ją w ramiona i całować.

- Mogę zamknąć drzwi?

- Jeśli wolisz. - Zmarszczka na jego czole pogłębiła się.

Przysunęła spod ściany krzesło i usiadła. Miała na sobie turkusową bluzkę i prostą szarą spódnicę, zwykły biurowy strój, który wyglądał na niej niesamowicie seksownie. Zwłaszcza gdy pełnym nieświadomionej gracji ruchem założyła nogę na nogę.

Loganowi na moment zapało dech. Od kilku dni bezskutecznie usiłował zapomnieć o tym, jak ją trzymał w ramionach. Z jej powodu stracił zdolność do koncentracji.

- O czym chciałaś porozmawiać? - zapytał.

- O tym. - Położyła płytę na biurku. Przez chwilę milczała, przygryzając dolną wargę. Sprawiała wrażenie zawstydzonej. - Czy na pewno mogę wysłać jej zawartość na zewnętrzny adres mejlowy? Maria podobno ma problem ze swoim komputerem i dlatego zwróciła się do mnie...

- Maria? Maria prosiła cię o wysyłanie mejli?

- Tak.

- Dlaczego?

- Miała ostatnio problemy z internetem. Czasem prosi mnie o drobne przysługi. Wczoraj na przykład chciała, abym przegrała na swój komputer mnóstwo plików.

- Co takiego?

Sally poruszyła się niespokojnie.

- Trochę mi niezręcznie mówić o Marii za jej plecami. Pewnie wszystko jest w porządku. Powiedziała, że chce mieć dodatkowe kopie. Dla bezpieczeństwa.

Logan poczuł narastającą panikę.

- Mamy w firmie dokładne procedury. Maria nie powinna używać twojego komputera.

- Kiedy prosiła o zrobienie dodatkowych kopii i przesłanie ich do niej, nie widziałam w tym nic złego. - Sally potrząsnęła głową. - Ale kiedy poprosiła o wysłanie ich na zewnątrz... - Zamilkła.

- Co jest na płycie?

- Nie wiem, nie czytałam tych dokumentów. Uznałam, że muszę porozmawiać z tobą. To trochę tak, jakby obcy na lotnisku poprosił nas o zabranie paczki, a my byśmy się zgodzili, nie wiedząc, co jest w środku.

- Dobrze, sprawdźmy. - Z ponurą miną wsunął płytę do komputera.

I zdebiał, kiedy jej zawartość ukazała się na ekranie.

Sally pochyliła się nad biurkiem. Widziała przerażenie w oczach Logana, to, jak krew odpływa mu z twarzy.

- No i co? - spytała przejęta.

- Tu są szczegółowe informacje na temat spraw, które omawialiśmy na zebraniu zarządu. Tajne informacje. - Drżącą ręką rozluźnił krawat, jakby ucisk uniemożliwiał mu nabranie powietrza. Po chwili otworzył kolejny plik i zaklął siarczyście. - A tu mamy strategię Blackcorp na najbliższe trzy lata.

- Ale... - Sally usiłowała ogarnąć to, co powiedział.

Logan przecesał ręką włosy.

- Nigdzie tego nie wysłałaś?

- Nie.

- Całe szczęście. - Odetchnął z ulgą. - Gdyby to trafiło do naszej konkurencji, znałoby każdy nasz ruch. Chodź, zobacz. Tu są listy naszych kontaktów firmowych. Kluczowe strategie. Obliczenia, ceny.

Okrążyła biurko. Zobaczyła rzędy cyfr na ekranie komputera oraz strach w oczach Logana. Dzięki Bogu, że zaufała swojej intuicji i postanowiła się upewnić, czy powinna słuchać poleceń Marii.

- Dokąd miałaś to wysłać?

- Na kilka adresów. - Wyjęła z kieszeni kartkę, którą Maria jej dała.

Logan rzucił na nią okiem, po czym poderwał się na nogi, przeklinając na czym świat stoi.

- Cholera jasna! Nie do wiary, że mogła tak podle postąpić! - Zdenerwowany krążył po gabinecie. - Przez nią mógłbym stracić wszystko, co do grosza!

Doszedł do ściany, zawrócił, doszedł do biurka, znów zawrócił. Strach, który przesładował go od młodzińskich lat, zakradł mu się do serca.

- Pewnie od początku to planowała. - Huknął pięścią w ścianę. - Odkąd tylko tu przyszła. Pewnie ktoś, jakaś inna firma, chciała przejąć Blackcorp. - Wtedy spełniłby się jego najczarniejszy sen.

Popatrzył na Sally z wyzwaniem w oczach, jakby sprawdzał, czy rozumie, w czym rzecz.

- Moja rodzina już raz zbankrutowała. Przysięgłem sobie, że to się nigdy nie powtórzy.

Tyle lat ciężkiej pracy, wyrzeczeń, samodyscypliny miałoby pójść na marne?

- Ale w końcu nic się nie stało? - spytała cicho Sally. - Prawda? Nikomu nie wysłałam tych dokumentów.

- Masz rację. - Uśmiechnął się nieporadnie. - Firma stała nad przepaścią. Ty ją uratowałaś.

Uczucie radości trwało krótko. Nagle w pełni uświadomił sobie przebiegłość Marii.

- Sally, Maria się tobą posłużyła. Chciała cię wrobić. Mejlę wyszłyby z twojego komputera. Gdyby ktoś coś odkrył i zaczął szukać źródła przecieku, trafiłby na ciebie.

Sally zachmurzyła się.

- Dlaczego wybrała mnie?

- Liczyła na to, że nie zdołasz się obronić. Najłatwiej skierować podejrzenia na nowego pracownika.

- Moje słowo przeciwko słowu zaufanej sekretarki szefa...

- No właśnie.

Tym razem to Sally puściła barwną wiązanekę. Po chwili oblała się rumieńcem.

- Przepraszam. Jak się ma czterech starszych braci, brzydkie słowa same wpadają do ucha. Jak ona śmiała?

Łzy zakręciły się w jej oczach. Na ich widok Logan ujął ją za rękę.

- Maria nie zna się na ludziach. Wzięła cię za gąskę z prowincji, która nie odważy się kwestionować jej poleceń.

Sally potrząsnęła głową. Łzy spłynęły po policzkach. Logan delikatnie otworzył jej kciukiem.

- Dzielna dziewczynka - szepnął, marząc o tym, by się uśmiechnęła. - Uratowałaś firmę. Uratowałaś mnie.

Doczekał się. Kąciki ust jej zadrżały i powędrowały lekko ku górze. Od wielu dni myślał o niej bez przerwy. Teraz oprócz pożądania czuł cały wachlarz emocji: strach, zdumienie, wdzięczność, radość.

- Nie wiem, jak ci się zdołam odwdzięczyć - szepnął i starając się ukryć uczucia, jakie w nim buzowały, dodał lżejszym tonem: - Kwiaty i kolacja to zdecydowanie za mało. Powiedz, Sally, na co miałabyś ochotę?

Przez dłuższą chwilę w milczeniu wpatrywała się w komputer, ale kiedy w końcu odwróciła wzrok, w jej oczach pojawił się figlarny błysk.

- Hm, w nagrodę mógłbyś mnie pocałować.

Oj, nie. Powinien trzymać się od niej na dystans. Był jej szefem, to po pierwsze, a po drugie, obiecał, że jej nie tknie. Najwyraźniej Sally zapomniała o tej obietnicy. A na nagrodę zasłużyła. W dodatku sama ją wybrała. Należy jej się pocałunek. Ba, dziesiątki pocałunków. Setki.

Hola, człowieku! Pohamuj się!

Logan przeniósł spojrzenie z ust Sally na widoczne za oknem czarne niebo. Powinien ją odwiedzić do domu, zanim uczyni coś głupiego. Zanim...

Ponownie skierował wzrok na jej twarz. Psiakrew, to był błąd. Miał wrażenie, że tonie, że zaraz przegra walkę, którą toczy sam ze sobą. Jest zwykłym facetem, mężczyzną z krwi i kości. Jak mógłby się oprzeć pokusie? A co ważniejsze: dlaczego miałby się opierać, skoro Sally patrzy na niego tak kusząco?

Ujął dłońmi jej twarz. W porządku. Nie musi całować namiętnie. Wystarczy lekki, niewinny całus. Taki miał plan. Schyliwszy się, musnął ustami jej wargi.

Plan spalił na panewce, gdy Sally zamruczała cicho, zarzuciła Loganowi ręce na szyję i przywarła do jego ciała. Niewinny pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny.

Ręce Logana wędrowały po jej ramionach, plecach, biodrach. Zamknął oczy. Boże, jak ta dziewczyna całuje!

Jeszcze nigdy nie czuł tak wielkiego podniecenia; czułość i pożądanie zlewały się w jedno. Pragnął Sally. Wiedział, że musi ją mieć. Był bliski utraty samokontroli. Jeszcze moment, a...

Nie! Nie może. Cudem udało mu się unieść głowę i przerwać pocałunek. Spoglądając na zaróżowioną twarz Sally, przyłożył palec do jej ust.

- Nie powinniśmy - szepnął. - Złożyłem ci przyrzeczenie.

Oczy jej lśniły.

- Nie odtrącaj mnie, Logan.

- Och, Sally. - Przytulił ją. - Co ja mam z tobą zrobić?

- Przed chwilą radziłeś sobie świetnie.

Jęknął. Wiedział, że przegrał walkę.

- Nie tu...

- Dokąd jedziemy? - spytała, kiedy jechali przez las wieżowców porastający centrum Sydney.

- Do mnie.

Przeszył ją dreszcz.

- To dobrze? - upewnił się, zerkając na nią z ukosa.

- Tak. Bardzo dobrze. - Zważywszy na fakt, że wkrótce będą się kochać, głos miała zdumiewająco spokojny.

Nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Nie denerwowała się. Dzisiejszego wieczoru Logan odkrył się przed nią; zobaczyła, jak stawia czoło swoim lękom.

Gdyby jeszcze nie była w nim zakochana, zakochałaby się dziś. Już nie miała cienia wątpliwości, jak dobrym i wrażliwym jest człowiekiem. Pragnęła go pocieszyć, dać mu wsparcie, siłę. Wszystko, czego potrzebował. Wszystko, czym sama dysponowała.

Skręcił z ulicy w podjazd prowadzący na parking pod wysokim nowoczesnym gmachem. Sally wzięła głęboki oddech.

- Niech zgadnę. Mieszkasz na najwyższym piętrze?

- Tak. Chyba nie masz lęku wysokości?

- Potworny.

Wysiadł z samochodu; zawahał się zmartwiony.

- Żartuję - roześmiała się.

- Diablica. Pewnie jako mała dziewczynka wspinałaś się na najwyższe figowce?

Kiedy szli do windy, wziął ją za rękę, a ona poczuła, jak ciarki przebiegają jej po skórze.

- Hej, wszystko w porządku?

W odpowiedzi ścisnęła jego dłoń.

Byli sami w kabinie windy, która wznosiła się do nieba. Logan przyciągnął Sally do siebie i pocałował ją w policzek. Czując wzbierające pożądanie, objęła go za szyję. Ponownie przywarł do jej ust.

- Teraz ci się przyznam. To było moje marzenie - szepnęła.

- Całować się w windzie?

- W windzie. Z szefem.

Drzwi rozsunęły się z cichym sykiem. Sally z biciem serca obserwowała, jak Logan przeciąga kartę przez elektroniczny zamek. Po chwili weszli do apartamentu.

Miała wrażenie, jakby znalazła się na planie filmowym. Ogromne pomieszczenie nieograniczone ścianami działowymi, setki metrów białej wykładziny, lekkie nowoczesne meble, kuchnia w stylu minimalistycznym, dyskretne oświetlenie oraz okna od podłogi do sufitu ukazujące nocny krajobraz tętniącego życiem miasta. Sally rozglądała się z zachwytem.

- O rety! Fantastycznie tu.

Apartament Logana ze swoimi wielkimi przestrzeniami stanowił przeciwieństwo małego, przytulnego domku Chloe, mimo to tchnął dziwnym spokojem.

- Tak, mnie się też podoba. - Uśmiechnął się. - Zjesz coś? Moja gospoia zawsze zostawia mnóstwo zamrożonych dań. Lubisz kuchnię wietnamską?

- Nie wiem; przypuszczam, że jest świetna. - Rzuciła mu spod rzęs zalotne spojrzenie. - Ale nie jestem głodna.

Zrozumiał aluzję. Przyciągnął Sally do siebie.

- Powiedz, całowałaś się tak wysoko?

- Nie - odparła, tuląc się do Logana. - Ale zawsze miałam taką fantazję...

Potarł nosem jej ucho, a ona zadrżała, po czym zamknęła oczy, rozkoszując się pocałunkiem.

- Mmm, a jakie ty masz fantazje?

- Taka jesteś odważna? - spytał ze śmiechem.

- Nie boję się. Ufam ci. - Jak miło móc coś takiego powiedzieć, pomyślała.

Poważniejąc, obrysował palcem linię jej policzka.

- Nie chciałbym cię zawieść, Sally.

- Przestań się zamartwiać.

- Czuję się za ciebie odpowiedzialny.

- Jestem dorosłą kobietą. Lepiej czuj się podniecony...

- Ależ czuję się, czuję. - Odgarnął jej kosmyk za ucho. - Opowiem ci o mojej fantazji. Tylko potrzebuję chwili.

Dwie minuty później siedziała obok niego na wielkiej czerwonej kanapie, z kieliszkiem schłodzonego wina w ręce, a w powietrzu niosły się cudowne dźwięki koncertu skrzypcowego Brahmsa.

- Słucham tej muzyki codziennie, odkąd rozmawialiśmy o niej na warsztatach. I zawsze wyobrażam sobie, że siedzisz tu obok mnie.

Zaskoczona, odstawiła kieliszek na stół. Słuchał codziennie? I myślał o niej? To niesamowite.

- Co robisz? - zapytała. - W tej twojej fantazji?

- Siedzisz bardzo, bardzo blisko.

Otoczył ją ramieniem i pocałował w czubek głowy. Sally zamknęła oczy. Pachniał cudownie: lekka piżmowa nuta wody kolońskiej mieszała się z zapachem świeżo upranej koszuli.

Muzyka zwolniła. Ten fragment obojgu najbardziej się podobał. Słuchali w skupieniu. Dla Sally poszczególne dźwięki były niczym pieszczoty, muśnięcie tu, muśnięcie tam...

- Brahms musiał być zakochany, kiedy to komponował.

- Możliwe. Często się zakochiwał.

- Czy był kiedykolwiek żonaty?

- Nie. Miał problemy z wiernością.

- Aha - mruknęła; nie chciała myśleć o takich sprawach.

- Masz niesamowite włosy. Złociste, miękkie...

- Tak? A mnie się podoba twój zarost. - Pocałowała go w brodę. - Taki kłujący. - Zamilkła. Przez chwilę słuchała muzyki, która wznosiła się, jakby przenikając ją na wskroś. - Logan, czy w twojej fantazji robiliśmy coś więcej, czy tylko siedzieliśmy?

Wydawszy z siebie ochryply jęk, zgarnął ją w ramiona i zamknął jej usta pocałunkiem. Zaślepieni pożądaniem, zaczęli zrywać z siebie ubranie.

Leżeli nadzy, zrelaksowani, zaspokojeni.

- Dziękuję - szepnęła Sally, kładąc głowę na ramieniu Logana. Wpadające oknem światło księżyca tworzyło wzory na ich ciałach. - Nie masz pojęcia, jaka jestem ci wdzięczna.

Roześmiawszy się cicho, objął ją w talii.

- I wzajemnie.

- Nie mówię tylko o seksie. - Chciała wyznać temu mężczyźnie, który tak czule i namiętnie się z nią kochał, że dzięki niemu pokonała lęk. - Miałam niedobre doświadczenie. Kiedyś, na balu, omal mnie nie zgwałcono...

Ręka Logana znieruchomiała.

- Od tamtej pory bałam się mężczyzn.

Usiadł.

- To okropne. Dlaczego mi nic wcześniej nie powiedziałaś?

- Żebyś się wystraszył?

- Gdybym wiedział, byłbym bardziej delikatny.

- Byłeś delikatny. Byłeś cudowny. - Ścisnęła jego dłoń. - Muszę ci się do czegoś przyznać.

- Słucham?

- Mój przyjazd do Sydney stanowi, hm, eksperyment.

- I ja jestem częścią twojego eksperymentu?

- Poniekąd. Ale wcale tego nie planowałam. Po prostu przyjechałam tu, aby udowodnić mojej rodzinie, że nic mi nie dolega. Bali się o mnie, traktowali mnie jak kalekę. Kiedy odziedziczyłam dom po Chloe, skorzystałam z okazji i wyrwałam się spod ich opiekuńczych skrzydeł. A kiedy ty poprosiłeś o lekcje tańca, postanowiłam zmierzyć się ze swoim strachem.

Nie wiedziała, co Logan myśli, gdyż jego twarz znajdowała się w cieniu. Kiedy jednak usiadł, ujrzała w jego oczach wyraz przerażenia.

- Podjęłaś ogromne ryzyko.

- Nie sędzę.

- Mogłem się okazać równie podły jak ten drań, który cię zaatakował.

- Mówisz jak moi bracia. - Uniósłszy jego dłonie do ust, złożyła na nich pocałunek.

- Od tego dnia, kiedy wpadłeś w parku do stawu, wiedziałam, że jesteś miłym facetem.

- Miłym? Co za straszne określenie.

- Znów udajesz twardziela. - Czubkiem palca pogładziła go po brodzie. - Naprawdę, Logan, nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo mi pomogłeś. Nasze spotkanie, rozmowy, lekcje tańca, teraz seks, to wszystko miało... - Zawahała się, jakby szukała właściwych słów.

- Działanie terapeutyczne?

- Jesteś sto razy lepszy od najlepszej terapii - powiedziała.

Przytulił ją do piersi.

- Tak mówisz? To może znów zastosuję moją magiczną metodę?

Uśmiechnęła się w ciemności.

- Stosuj, stosuj.

Logana obudził dochodzący z dołu hałas ruchu ulicznego oraz niespotykane uczucie zadowolenia.

Sally spała obok. Z rozsypanymi po poduszce włosami i odrzuconą na bok kołdrą, spod której wystawała jedna pierś, wyglądała niewinnie i bezbrinnie. Przypomniawszy sobie, co mówiła o draniu, który próbował się do niej dostać. Ogarnęła go wściekłość na faceta, a także pragnienie, aby zawsze ją chronić.

Chronić? Na razie miał ochotę ją zbudzić paroma lekkimi pocałunkami. Otworzyłaby oczy, uśmiechnęła sennie, przytuliła do niego. Powitaliby dzień wspaniałym seksem. Westchnął cicho. Zmysłowa rozkosz musi na razie poczekać. Czeka go wyjątkowo nieprzyjemny obowiązek: natychmiastowe zwolnienie Marii i poinformowanie swoich

konkurentów, że wie o ich knowaniach. Powinien również dokładnie zastanowić się nad swoją długoterminową strategią.

Wstawszy z łóżka, przeszedł do kuchni, włączył ekspres do kawy, następnie udał się do łazienki, ogolił się, wykapał. Kiedy wrócił do sypialni przepasany ręcznikiem, Sally już nie spała.

Uśmiechając się szeroko, oparła się na łokciu i zmierzyła go wzrokiem. Och, jak go korciło, żeby wskoczyć do niej do łóżka.

Wyczuwając jego wahanie, zrobiła smutną minkę, a po chwili wciągnęła nosem powietrze.

- Zaparzyłeś kawę? Boże, która godzina? Zaspałam?

- Po siódmej.

Z cichym jękiem przeturlała się na krawędź łóżka.

- Zdażymy wstąpić do mnie? Żebym się przebrała?

- Jak się pospieszysz.

- Przed pracą muszę zjeść śniadanie. W przeciwieństwie do ciebie, kubek kawy mi nie wystarczy. - Przystanęła w drzwiach do łazienki. - Właśnie sobie przypomniałam, że idziemy dziś na bal.

Uśmiechając się figlarnie, znikła w środku. Loganowi niestety nie udzielił się jej radosny nastrój. Ostatnią rzeczą, o jakiej marzył pod koniec tego trudnego dnia, był walc z Dianą Devenish na oczach wszystkich gości.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W starym japońskim kimonie, które kiedyś należało do Chloe, Sally siedziała przed lustrem, malując usta.

Trudno jej było dziś w pracy zachowywać się normalnie. Cała promieniała szczęściem. Bała się, że wszyscy natychmiast się domyślą, co robiła w nocy.

Przed południem stanowisko recepcji minęła Maria Paige w ciemnych okularach, z aktówką pod pachą. Nawet nie spojrzała na Sally. Tak się akurat złożyło, że ani Kim, ani Maeve nie wiedziały o zwolnieniu Marii, toteż w trakcie lunchu nie komentowały jej odejścia.

Sally starannie nałożyła makijaż; włosami zajął się Patrick, fryzjer za rogiem, który upiął jej loki w fantazyjny kok, pozwalając, aby kilka kosmyków opadało w pozorowanym nieładzie. Nie wyglądała jak Sally Finch z Tarra-Binyi, lecz jak modelka z ekskluzywnego pisma.

Czas się ubrać. Złota suknia ze sklepu w Rose Bay wisiała na drzwiach mahoniowej szafy. Sally zdjęła ją z wieszaka i ostrożnie wsunęła na siebie. Wygładziła materiał na biodrach, poprawiła ramiączka, po czym nie odychając, sięgnęła za siebie i zaciągnęła zamek błyskawiczny.

Spróbowała się obrócić. Idealnie. Suknia opinała ją niczym druga skóra, ale nie utrudniała ruchów. Nagle

Sally dostrzegła w lustrze swoje odbicie. Zadrzała. Czy ta piękna seksowna kobieta to naprawdę ona?

Była pewna, że Loganowi spodoba się suknia, choć oczywiście będzie się koncentrował głównie na tańcu z Dianą Devenish.

Teraz biżuteria. Wyjęła z wyłożonej aksamitem szkatułki należący do Chloe stary złoty medalion z niebieskim topazem, otoczonym maleńkimi perłami. Przez chwilę trzymała go w dłoni. Gdybyś mogła mnie dziś zobaczyć, Chloe... Myślę, że byłabyś zadowolona.

Medalion. Do tego, pod kolor oczu, kolczyki z niebieskim topazem. Cofnęła się o krok od lustra. Ciekawe, co by sobie pomyśleli jej rodzice i bracia, gdyby ją dziś widzie-

li? Rzecz jasna, byliby zatroskani. Ona jednak wiedziała, że jest w dobrych rękach. Że Logan nigdy jej nie skrzywdzi.

Ciszę przerwał dzwonek do drzwi. Zdenerwowana, ostatni raz zerknęła na swoje odbicie. Uczesanie, makijaż, strój. Wszystko idealnie. Nic nie wymaga żadnej poprawki.

Zgarnawszy z łóżka torebkę, zeszła pośpiesznie na dół i otworzyła drzwi. Logan stał odwrócony do niej plecami. Kiedy stanął do niej twarzą, zaparło jej dech w piersiach.

- O rany - szepnęła, zachwycona jego strojem: smokingiem, białą koszulą, czarną muszką.

- O rany - zawtórował, pożerając Sally wzrokiem. - Wyglądasz niesamowicie.

- Dziękuję za suknię. Mam wrażenie, że Agathe zamieniła mnie w księżniczkę.

Podał jej ramię.

- Chodźmy. Miejmy to z głowy.

Zamknęła drzwi i wzięła Logana pod rękę. Czowała, że jest potwornie spięty. Wsiadli do samochodu.

- Denerwujesz się? - zapytała.

- Ja?

Oczywiście nie zamierzał się do tego przyznać. Potrafił doskonale maskować emocje, udawać człowieka silnego, pewnego siebie. Dlatego odnosił sukcesy na polu zawodowym. Ona jednak wiedziała, co kryje się pod maską. Że w głębi duszy Logan denerwuje się i odetchnie z ulgą, kiedy wieczór dobiegnie końca.

- Zobacysz, będzie dobrze. Z lekcji na lekcję robiłeś postępy. Jesteś moim najlepszym uczniem.

- A ilu ich miałaś?

- W Sydney? Jednego.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Serio, Logan. Zważywszy na to, że nigdy nie przepadałeś za tańcem, to osiągnąłeś ogromny sukces. - Zatrzymali się na światłach. - A kolejny osiągniesz na parkiecie, bo po pierwsze, jesteś muzykalny, a po drugie, masz w sobie żyłkę współzawodnictwa.

Wyszczrzył w uśmiechu zęby.

- A po trzecie, miałem fantastyczną nauczycielkę.

Mknęli dalej przez mokre od deszczu ulice, kierując się do dzielnicy Woolloomoo. Nagle oczom Sally ukazał się jaskrawo oświetlony budynek; po półkolistym podejździe sunęły eleganckie limuzyny. Wokół zgromadził się tłum gapiów.

- My też tam? - spytała.

- Tak, to hotel Jameson.

- Spójrz na te tłumy dziennikarzy! O rany! I czerwony dywan. Zupełnie jak na uroczystości wręczenia Oscarów.

- Czerwone dywany rozkładają dziś wszędzie, przy byle okazji.

Wysiedli z samochodu. Logan wręczył kluczyki parkingowemu. Z wnętrza budynku wyływały dźwięki muzyki. Fotoreporterzy oślepiali gości błyskiem fleszy.

Sally poczuła w pasie dłoń Logana.

- No, głowa do góry, uśmiech na twarz.

Elegancki hol i sala balowa zapierały dech w piersi.

W ogromnych lustrach odbijały się sylwetki dystygowanych dżentelmenów w smokingach i pięknych dam w mieniących się sukniach. Z sufitu zwisały lśniące żyrandole, wypastowany parkiet czekał na tancerzy.

Długie białe obrusy, okrągłe stoły udekorowane żółtymi różami i białymi balonami, wysokie palmy w donicach na tle białych marmurowych kolumn, rzędy pustych kiełszków mieniących się w blasku lamp niczym delikatne bańki mydlane...

Sally westchnęła. Oszałamiał ją wystrój, porażała ilość znanych twarzy: polityków, osobowości telewizyjnych, aktorów, przedsiębiorców obu płci. Wielu z nich witało się z Loganem, jedni klepali go po plecach, inni ściskali mu dłoń, kobiety całowały go w policzek.

Przyjęcie się rozkręcało. Korki strzelały, lał się szampan, lało czerwone i białe wino. Kelnerki krążyły ze srebrnymi tacami pełnymi malutkich kanapeczek, które przypominały miniaturowe dzieła sztuki.

Nagle atrakcyjna ciemnowłosa kobieta w zielonej sukni rzuciła się Loganowi na szyję. Okazało się, że jest to jego siostra. Obok stał mąż Carissy, Geoff, wysoki mężczyzna o przeredzonych rudych włosach i miłym uśmiechu.

- Nie mogłam się doczekać, kiedy cię poznam - oznajmiła Carissa. - Właśnie kogoś takiego Logan potrzebuje! - Zanim Sally zdołała rozgryźć, co to znaczy, Carissa kontynuowała: - Muszę ci pogratulować. Uczenie tańca mojego brata to niełatwe zadanie.

Logan zakasłał nerwowo.

- Może wstrzymaj się z gratulacjami...

Sally dostrzegła w jego oczach błysk niepokoju. Obejrząwszy się przez ramię, popatrzył na ogromny lśniący parkiet. Ścisnęła go za rękę, próbując dodać mu otuchy. Odpowiedział jej uśmiechem.

Nagle po sali przeszedł podniecony szum, a po chwili nastąpiła pełna napięcia cisza: w drzwiach pojawiła się wysoka kobieta o kruczoczarnych włosach i alabastrowej cerze, ubrana w podkreślającą figurę jaskrawoczerwoną suknię. Towarzyszył jej niski łysy mężczyzna w okularach.

Orkiestra zagrała fanfarę.

- Panie i panowie - rzekł znajomo brzmiący głos. - Powitajmy przewodniczącego rady nadzorczej szpitala, pana Ruperta Sinclaira-Jonesa, oraz naszego gościa honorowego, gwiazdę tańca, pannę Dianę Devenish.

Przy wtórce oklasków Diana, wyniosła niczym Kleopatra przybywająca do Rzymu, wkroczyła do sali. Unosząc brwi, Logan uśmiechnął się nerwowo.

- Poradzisz sobie - szepnęła Sally. - Zresztą chodzi o zebranie pieniędzy na chore dzieci. Taniec jest tylko dodatkiem.

Niezbyt przekonany, skinął głową.

Sally przyjrzała się gościowi honorowemu i nagle sama się wystraszyła. Może zbyt mało przykładała się jako instruktorka? Może była zbyt pewna siebie? Bardzo nie chciałyby zawieść Logana. Aż do dzisiejszego wieczoru nie zdawała sobie sprawy z rangi imprezy. Gdyby wiedziała, jakim prestiżem cieszy się dzisiejszy bal, nie zgodziłaby się udzielać Loganowi lekcji; nalegałaby, żeby zatrudnił profesjonalną nauczycielkę. Teraz było już za późno. Za późno na żale, za późno na dodatkowe lekcje.

Znajomo brzmiący głos - jak się okazało, należał do popularnego spikera radiowego - powitał resztę gości, po czym przedstawił zebrany burmistrza, który przypomniał wszystkim o aukcji charytatywnej, opowiedział, ile pieniędzy już zebrano i wyczytał na-

zwiska najhojniejszych ofiarodawców. Kiedy oznajmił, że trzech najbardziej szczerzy dobroczyńcy zatańczą dziś z Dianą Devenish, ludzie zaczęli klaskać.

- Widzisz? - szepnęła Sally. - Już jesteś gwiazdą.

Logan z ponurą miną zerknął na zegarek; widać było, że wolałby być gdziekolwiek indziej, a nie tu.

Rozległa się muzyka, współczesny utwór, ale w rytmie walca. Mnóstwo par ruszyło na parkiet.

- Brzmi znajomo? - spytała Sally.

Logan uśmiechnął się.

- No pewnie. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. - Ku jej zdumieniu chwycił ją za rękę.
- Chodź. Muszę poćwiczyć, a w tym tłumie nikt na mnie nie będzie patrzył.

- Dobry pomysł.

Po chwili wirowali po parkiecie. Tyle razy to robili, zawsze było przyjemnie. Ale dziś... Dziś blask żyrandoli oświetlał salę, grała prawdziwa orkiestra, Logan pachniał wodą kolońską, a jego opalona szyja odcinała się od bieli kołnierzyka. Wyglądał bosko, a ona, Sally, była w nim beznadziejnie zakochana.

Nie myśl o tym. Skup się na tańcu, przykazała sobie.

- Jak mi idzie?

- Doskonale.

Carissa, która tańczyła z Geoffem, uśmiechnęła się nad ramieniem męża i uniosła kciuk.

Utwór dobiegł końca. Jedna przeszkoda pokonana. Podziękowawszy Sally, Logan zaproponował jej coś do picia. Zdążyła wypić łyk wina, kiedy poprosił ją do tańca jeden z kolegów Logana.

Była zdziwiona, ilu mężczyzn chce z nią tańczyć. Oczywiście większością powodowała ciekawość. Panowie pytali, gdzie poznała Logana, dlaczego oni nigdy jej wcześniej nie widzieli. Przyjemnie się słuchało komplementów, jednak czas się Sally trochę dłużył.

Logan nie tańczył. Stał z kieliszkiem czerwonego wina w ręce, rozmawiając ze znajomymi. I czekając, aż skończy się jego gehenna.

Wreszcie Diana Devenish, która przebywała gdzieś na zapleczu, pojawiła się na skraju parkietu. Skierowano na nią światło reflektora. Sally wstrzymała oddech. Logan jako ten, który przekazał największy czek, w nagrodę miał zatańczyć pierwszy. Lada moment spiker wyczyta jego nazwisko. Z bijącym sercem ruszyła w jego stronę.

- Pamiętaj... - zaczęła, lecz nie dokończyła.

Logan uśmiechnął się.

- Pamiętam. Mam trzymać ramę. I nie patrzeć pod nogi.

Wyczytano nazwisko Logana. Dygocząc jak w febrze, Sally ledwo była w stanie ustać.

- Połamania nóg - szepnęła.

- Kto wie, czy się tak nie skończy - odparł ironicznie.

Dumnie wyprostowany skierował się ku Dianie. Rozmowy ucichły. Sally poczuła, jak ktoś ją ściska za rękę. To była Carissa, równie przejęta i zdenerwowana występem brata.

- W szkole nienawidził wszystkich akademii. Zawsze zżerała go trema.

- Da sobie radę - rzekła Sally, czując straszliwy ucisk w brzuchu.

Wszystkie oczy wymierzone były w Dianę i Logana.

- Pan Logan Black jest prezesem Blackcorp Mining - oznajmił przez megafon spiker. - Z panną Devenish zatańczy walca.

Przygasły światła. Logan wszedł na parkiet pewnym siebie krokiem. Był niczym gladiator wkraczający na środek Koloseum. Diana Devenish pocałowała na powitanie swego partnera, po czym wspięła się na palce i uśmiechając się kokieteryjnie, szepnęła mu coś na ucho. Logan skinął głową.

Orkiestra zaczęła grać piękną, doskonale znaną melodię. Logan ujął w lewą dłoń prawą dłoń Diany, a swoją prawą położył na jej plecach, tak jak Sally go nauczyła. Diana lewą dłoń położyła na jego prawym ramieniu i uśmiechnęła się zachęcająco.

Logan nie drgnął. Stał sztywno, jakby przyrośnięty do podłogi. Muzyka niosła się w powietrzu.

- Zaczynj liczyć - szepnęła Sally.

Wiedziała, że jeśli Logan szybko nie wykona ruchu, uczyni to Diana Devenish. Zatańczą, ale to ona będzie prowadzić. A on poczuje się upokorzony. Pokonany.

Tłumaczyła sobie, że to nie ma znaczenia. To tylko jeden taniec, a nie sprawa życia i śmierci. Wstyd z powodu własnej niemocy minie.

Łatwo powiedzieć.

Z obawy, że się rozplacze, Sally zamknęła oczy. Orkiestra dalej grała. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Umie pan liczyć do trzech, panie Black? Zacisnęła palce na medalionie. Miał jej przynosić szczęście...

- Sally! - Carissa dźgnęła ją łokciem. - Patrz!

Zmusiwszy się do otwarcia oczu, Sally wstrzymała oddech. Logan tańczył. Prowadził tak, jak go uczyła. Wirował po parkiecie. W ognisku czerwonej sukni Diana Devenish wyglądała na zachwyconą.

Czując, że melodia - i jego gehenna - zbliża się do końca, Logan przyśpieszył tempo. Coraz bardziej pewny siebie, chciał się popisać. Salę wypełnił ogłuszający huk oklasków; najgłośniej biła je Sally.

Minęły wieki, zanim Logan mógł odejść. Najpierw musiał poczekać przy stoliku Diany, aż zatańczą z nią kolejni dwaj panowie. Potem zaś długo przyjmował gratulacje od obcych mu ludzi. Ani na moment nie spuszczał jednak oczu z Sally, która na drugim końcu sali rozmawiała z przyjaciółmi Carissy. W złotej sukni i ze złotymi lokami świeciła jasno niczym latarnia morska.

Niczym jego własna, prywatna gwiazda przewodnia. Wcześniej uratowała jego firmę od bankructwa lub wrogiego przejęcia. Dziś uratowała jego. Pewnie tkwiłby przyrośnięty do parkietu, gdyby nie usłyszał jej głosu: Umie pan liczyć do trzech, panie Black?

Nagle Diana Devenish znikła. Znikł stojący wokół tłum. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Mocno, lekko, lekko. Wyobraził sobie, że tańczy z Sally w sali konferencyjnej, wśród zsuniętych stołów i krzeseł. Walc to taniec pełen elegancji i gracji...

Dziękuję, Sally. Dziękuję za wszystko.

Wreszcie do niej dotarł. Zarzuciwszy mu ręce na szyję, pocałowała go, powiedziała, że spisał się fantastycznie. Inni też mu to mówili, ale jej słowa znaczyły więcej. Przy-

tulił ją mocno; chciał jeszcze mocniej, tak by mu się nigdy nie wyrwała. Jej miejsce było tu, w jego ramionach.

- Mówiłam Sally, że powinna otworzyć szkołę tańca - powiedziała Carissa, gdy w końcu puścił Sally.

- Och, nie! - Popatrzył Sally w oczy, które były równie lśniące i niebieskie jak topazy w kolczykach, po czym delikatnie pogładził ją po zarumienionym policzku. - Jest mi potrzebna w Blackcorp.

Obdarzyła go porozumiewawczym uśmiechem, a on poczuł dławienie a gardle. Przypomnił sobie cudowną noc, którą spędzili razem: niezwykłą czułość i wrażliwość Sally, jej dobroć, uczciwość, brak zahamowań. Nigdy wcześniej nie doświadczył tak wielkiego pożądania. Teraz marzył o tym, aby ją stąd zabrać. Już, natychmiast. Do niej, do siebie. Gdzieś, gdzie byliby sami.

Rozważania Logana przerwał głos Geoffa.

- Zatańczysz ze mną, Sally?

- Z przyjemnością, Geoff. Ojej, tango! Chodźmy!

Trzymając się za ręce, ruszyli na środek sali, roześmiani i szczęśliwi jak dzieci. Z trudem tłumiąc zazdrość, Logan przyglądał się, jak z policzkiem przy policzku krążą po parkiecie.

Sally. Zabawna, sympatyczna, pełna wdzięku. Była jak balsam na jego duszę. Jakby czytała w jego myślach, obejrzała się przez ramię. Oczy jej lśniły, gdy napotkała jego wzrok. Rozciągnęła usta w uśmiechu...

I nagle wszystko stało się jasne. Zrozumiał, że Sally go kocha. Gdyby mógł odwzajemnić jej miłość. Gdyby...

Cholera jasna! Żelazna obręcz ścisnęła go za serce. Niemal jęknął z bólu. Popęłił straszny błąd.

Wczoraj Sally opowiedziała mu o draniu, który ją zaatakował, a on chciał ją chronić przed całym światem. Ale jak miał to robić, a jednocześnie realizować swój pięcioletni plan?

Sally ceniła szczerość. Powinien był jej wprost powiedzieć: przykro mi, kochanie, muszę trzymać się swoich planów, które niestety nie pozwalają mi na miłość. Ale wtedy zepsułby cudowny wieczór.

Grzech przemilczenia bywa najgroźniejszy. Tak twierdziła Hattie. Tak bardzo zależało mu na jeszcze jednej nocy wspaniałego seksu z Sally, że nie zdradził jej jednego ważnego szczegółu o sobie: że uczucia ma zamrożone na pięć lat.

Właściwie powinien był jej to wyznać, zanim zaciągnął ją do łóżka. Zignorował swoje wcześniejsze postanowienie, aby trzymać się od Sally na dystans, a przecież od początku wiedział, że jest ona niewinną dziewczyną z prowincji, która wierzy w miłość aż po grób.

Cholera, niczym nie różni się od drania, który usiłował ją zgwałcić. Co miał na swoje usprawiedliwienie? Że zaślepiła go radość, bo Sally uratowała jego firmę przed bankructwem? Że znajdował się w stanie euforii? Że pragnął się Sally odwdzińczyć? Dobrze sobie.

Wczorajsze emocje nie zwalniały go od obowiązku myślenia. Powinien był pamiętać o tym, że nie zdoła ofiarować Sally tego, co jej się należy i na co zasługuje.

Szczerość. Dlaczego nie potrafił być szczery? Sally zwierzyła mu się, uznając go za godnego zaufania. Biedaczka. Zaufała tchórzowi, który nie umiał się przyznać, że w jego życiu nie ma miejsca na miłość. Czy teraz znajdzie dość siły, aby z niej zrezygnować?

Wzdychając ciężko, popatrzył na kieliszek, który ktoś mu wcisnął do ręki. No trudno, nie ma wyboru. Musi postąpić uczciwie.

Podeszła Carissa i dała mu kuksańca w bok.

- Co, braciszku, nadal upierasz się przy swoim planie pięcioletnim?

- Oczywiście - syknął przez zęby.

- Biedna dziewczyna. - Potrząsnęła głową. - Pięć lat, czyli sześćdziesiąt miesięcy.

To kretyńskie.

Starał się zignorować ucisk w sercu. Bał się, że Carissa może mieć rację, ale nie zamierzał zmieniać planów. Wczorajsze odkrycie - że Maria wynosi na zewnątrz tajemnice firmy - jedynie utwierdziło go w tym przekonaniu. Za pięć lat, jeśli wszystko dobrze

pójdzie, osiągnie sukces finansowy. Wtedy będzie mógł się zrelaksować i zacząć szukać żony. Do tego czasu nie ma prawa angażować się w jakikolwiek związek.

Sally zasługuje na to, aby poznać prawdę.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ból gardła poczuła, kiedy obserwowała Logana na parkiecie z Dianą Devenish. W drodze do domu zaczął się nasilać. Znowu padało; deszcz walił w szyby auta, spływał ulicami. Była skonana, ale nic dziwnego: cały wieczór przetańczyła.

- Zmęczona? - spytał Logan, mijając tłum zmokniętych ludzi, którzy wyszli z nocnego klubu.

- Nie - skłamała.

Bolały ją wszystkie członki, a od pracujących wycieraczek pękała głowa. To nie mógł być kac. Zajęta tańcem, prawie nie tknęła szampana.

Cokolwiek było przyczyną bólów, postanowiła je zignorować. Nie pozwoli, aby zepsuły ten idealny wieczór.

Logan prowadził w milczeniu. Sally nie próbowała na siłę wszczynać rozmowy. Siedziała z policzkiem przyciśniętym do miękkiego skórzanego fotela i spoglądała na lśniące od deszczu chodniki.

Tak, to był idealny wieczór. Miała na sobie piękną złotą suknię, a obok siebie przystojnego i troskliwego partnera. Carissa z Geoffem odnosili się do niej niezwykle przyjaźnie, w dodatku tańczyła z wieloma fantastycznymi facetami. Jakby tego było mało, to lekcje tańca, których udzielała Loganowi, przyniosły znakomite rezultaty.

Uśmiechając się z zadumą, potarła medalion. Chloe byłaby z niej dumna. Zresztą nie tylko ona, również rodzice i bracia. Ponure widma przeszłości znikły. Narodziła się nowa Sally.

Logan zatrzymał się przed jej domem. Poczowała przyjemny dreszczyk podniecenia. Zaraz nastąpi idealne zakończenie idealnego wieczoru. Może Logan zostanie u niej do samego rana? Jeszcze lepiej byłoby, gdyby mógł zostać na zawsze.

- Dziękuję...

Zgasił silnik, odpiął pas.

- To ja ci dziękuję, Sally. - Pochyliwszy się, opuszką palca pogłodził ją po policzku. - Tak wiele ci zawdzięczam.

Coś w jego sposobie bycia - dystans, uprzejmość - zaniepokoiły ją. Wczoraj śmiali się, żartowali, namiętnie się kochali. Więc skąd ta zmiana? Przecież są sami. Dlaczego Logan jej nie obejmie?

Przez cały wieczór pożerał ją wzrokiem. Ilekroć brał ją za rękę, czuła bijący od niego żar. Teraz natomiast czuła, jak się od niej oddala.

Nerwowo zastanawiała się, co powiedzieć.

- Od dziś mogę się chwalić, że tańczyłam z mężczyzną, który tańczył z Dianą Devenish.

Zaśmiał się pod nosem.

- Jestem z ciebie dumna, Logan.

- To wszystko twoja zasługa, Sally.

Potrząsnęła głową.

- Byłeś bardzo dzielny. Carissa wspomniała, że w dzieciństwie miewałeś straszną tremę.

- Carissa ma za długi język. - Westchnął ciężko.

- Wstąpisz na kawę?

- Chętnie.

Uff. Przynajmniej nie próbował uciec. Może niepotrzebnie się martwiła.

- Zawsze wożę parasol. - Zerknął na tylne siedzenie. - O, jest. Poczekaj moment. Szkoda by było, żeby ta piękna suknia zmokła.

Obszedł auto i otworzył drzwi od strony Sally, próbując osłonić ją przed zacinającym deszczem. Sally jedną ręką uniosła dół sukni, w drugą wzięła złote sandały i chowając się pod parasolem, ruszyła bosą do domu.

Zdyszana, przez chwilę szukała w torebce klucza. Logan tymczasem złożył parasol i postawił go w rogu na werandzie. Weszli do środka. Sally zapaliła światło w holu i odwróciła się, pewna, że teraz Logan zgarnie ją w ramiona. On tymczasem stał sztywno

wyprostowany. Ręce miał zaciśnięte, zęby też. Wykonał głową nieznaczny ruch, jakby ostrzegał Sally przed tym, co ma nastąpić. Strach przeszył ją niczym kula z pistoletu.

- Chciałem z tobą porozmawiać.

Po wczorajszej nocy pełnej napiętności? Po dzisiejszym balu? Nawet jej wcześniej nie pocałuje?

Przymknęła powieki. Co jej chciał powiedzieć? Że wczorajszy wieczór był pomyłką? Że zaciągnął ją do łóżka z radości, że ocaliła mu firmę? Że dzisiejszy bal to impreza charytatywna, a nie randka? Że ich relacje muszą wrócić do poprzedniego stanu? Że on jest szefem Blackcorp, a ona recepcjonistką? Starając się ukryć rozczarowanie, wzięła głęboki oddech.

- Kuchnia jest tam...

Przeszła do przytulnego pomieszczenia. Logan za nią. Zdjął przemoczoną na ramiionach marynarkę i powiesił na oparciu krzesła. W białej koszuli i muszce sprawiał wrażenie jeszcze wyższego niż w rzeczywistości.

- Kawa czy herbata? Ja o tej porze wolę herbatę.

- Ja też.

Widzisz, jacy jesteśmy zgodni? - chciała zażartować, ale ugryzła się w język. Krzątała się po kuchni, wydając z szafek imbryk, sitko, kubki, cukier, paczkę kruchych ciasteczek. Logan stał oparty o lodówkę.

- Możesz się przesunąć? Muszę wyjąć mleko.

Nalawszy do kubków herbaty - dla Logana czarną z dwiema kostkami cukru, dla siebie z mlekiem i jedną kostką - zaproponowała, aby przeszli do salonu.

- Wolałbym zostać tu - rzekł lekko skrzępowany.

No tak. Salon może być niebezpieczny, choćby ze względu na obecność kanapy.

- Dobrze. - Odsunawszy krzesło, usiadła. Wyobraziła sobie, jak dziwnie muszą wyglądać: w strojach wieczorowych, przy starym sosnowym stole. - O czym chciałeś porozmawiać?

Logan zaczął studiować wzór na kubku.

- Spędziliśmy razem dwa wspaniałe wieczory - zaczął, po czym urwał speszony.

- Ale nie chcesz, abym robiła sobie nadzieję na przyszłość - zauważyła cicho Sally.

Skrzywił się jeszcze bardziej.

- Jest coś, o czym powinienem był ci powiedzieć.

- Masz kogoś?

- Ależ skąd.

- Nie jesteś potajemnie zaręczony albo żonaty?

- Nie. Ale jestem totalnie oddany swojej pracy - rzekł po chwili. - I tak będzie jeszcze przez jakiś czas. Nie mogę sobie pozwolić na jakiegokolwiek zaangażowanie emocjonalne. Zamroziłem swoje życie prywatne.

- Na długo?

- Na pięć lat.

Pokręciła głową.

- Więc wczoraj był ostatni raz, kiedy się kochałeś? Następny raz będzie za pięć lat?

Nie żartuj, Logan.

Sprawiał wrażenie zawstydzonego.

- Nie o to mi chodzi.

- To znaczy przelotny romans ewentualnie wchodzi w grę?

Westchnął ciężko.

- Ty, Sally, nie nadajesz się na przelotny romans. Tak, to prawda. Ale była wojowniczką; nie poddawała się bez walki.

- Skąd wiesz? Przecież mnie nie znasz.

- Na tyle cię poznałem, by wiedzieć, że nie jestem dla ciebie odpowiednim partnerem. Zadałbym ci ból. A nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiała. Dlatego powinniśmy wprowadzić dystans między nami, wrócić na płaszczyznę urzędową.

Jak mógł być tak spokojny, tak opanowany? Czy wczorajsza noc nic dla niego nie znaczyła? Psiakrew!

- Jeśli próbujesz mnie chronić, to niepotrzebnie. Sama o siebie potrafię zadbać.

Próbował się uśmiechnąć; nie wyszło mu. Niepocieszony, utkwiał wzrok w kubku. Ogarnęła ją złość.

- Dla twojej wiadomości, Logan, nie oczekiwałam, że padniesz na kolana i mi się oświadczysz.

- Przepraszam - mruknął. - Uraziłem cię.

- Jestem twardsza, niż ci się wydaje.

Uśmiechnął się. Wokół jego oczu pojawiły się seksowne zmarszczki. Cholera! Czy ten facet musi wyglądać tak ponętnie, kiedy ją odtrąca?

- Uważam, że należy mi się... - zaczęła i nagle przypomniała sobie swoją ostatnią rozmowę z Hattie. Jęknęła cicho. - Twoja babcia ostrzegała mnie, że coś takiego może się zdarzyć.

- Pochodzę z rodziny wścibskich kobiet.

- Nie narzekaj. Hattie i Carissa są wspaniałe. Obie bardzo polubiłam. Jestem pewna, że twoja matka też jest sympatyczna.

- Jest bardzo sympatyczna. Ale przynajmniej się nie wtrąca do mojego życia. Podróżuje po Australii.

- Tak, Hattie mi o tym mówiła.

Wspomniała, że oboje rodzice podróżują. I że Logan finansuje im podróż. Czy ma potrzebę wszystkim się opiekować? Wszystkich chronić?

- Mówiła ci również o bankructwie mojego ojca?

- Nie - przyznała Sally, zdając sobie sprawę, jak duże piętno musiało to odcisnąć na synu. Logan wyraźnie bał się powtórki.

- Mój ojciec nie miał głowy do interesów. Zapalał się do różnych szalonych pomysłów. Rodzina straciła cały majątek.

- To wtedy musiałeś zmienić szkołę? - spytała, przypominając sobie, co jej mówił na warsztatach.

- Tak, tyle że ja sobie poradziłem, a ojciec nie. Przeżył załamanie nerwowe. Nie mógł pracować. Mama nas utrzymywała.

- Nigdy ojcu nie wybaczyłeś - stwierdziła cicho Sally.

Miała ochotę się rozplakać. Dlaczego Logan pozwalał, aby błędy ojca decydowały o jego życiu?

- Tu nie chodzi o wybaczenie. Nauczyłem się jednej rzeczy: przyszłość trzeba planować. Muszę być pewien swojej sytuacji finansowej, zanim zacznę myśleć o założeniu rodziny. Przez pięć lat nie chcę się z nikim wiązać.

- A potem? - spytała, nawet nie próbując ukryć złości. - Sądysz, że Panna Idealna będzie siedziała przed twoim domem, czekając, aż ją zauważysz?

Miała ochotę rzucić się na niego z pięściami. Jak można być tak czułym, namiętym kochankiem, tak bardzo troszczyć się o kobietę w łóżku, a nazajutrz odejść, jakby to wszystko nic nie znaczyło? Dlaczego on nie rozumie, że uczucie szczęścia i zadowolenia z życia jest równie ważne, a może nawet ważniejsze od stabilizacji finansowej?

- Powiedz, co zrobisz - ciągnęła z przejęciem - jeśli zakochasz się przed upływem pięciu lat?

- Nie zakocham się.

- Skąd wiesz?

- Nie pozwolę na to.

- Masz nie po kolei w głowie! - Coś w niej pękło. Huknęła kubkiem w blat i pode-
rwała się na nogi. Łzy podeszły jej do gardła. - Może za pięć lat dorośniesz.

- Sally! Nie chciałem cię zdenerwować.

- Wcale się nie denerwuję! - Nie zamierzała się przyznawać, że jest wściekła, że czuje się wykorzystana, że serce jej krwawi.

- Pewnie wolisz, abym sobie już poszedł?

Nie, nie, nie! Chciała go błagać, żeby został, lecz jakimś cudem wykrzesła z siebie siłę, by oznajmić chłodno:

- Dałeś mi jasno do zrozumienia, co się dla ciebie liczy. Wracaj do swojego biznesu i pięcioletnich planów!

Z ponurą miną chwycił wilgotną marynarę.

Bez słowa skierowali się do drzwi. Byli dwojgiem ludzi, którzy czuli do siebie ogromny pociąg. Powinni wskoczyć do łóżka, kontynuować to, co wczoraj zaczęli. Przez niego oboje cierpieli. Tylko dlatego, że miał w dzieciństwie smutne przeżycia, teraz karał zarówno siebie, jak i ją. Jakim prawem igrał z jej uczuciami?

Doszli do holu.

- Sally, jesteś wspaniałą...

- Przestań! - krzyknęła. - Już dość powiedziałeś! - Usiłując powstrzymać łzy, rozpięła suknię.

- Co robisz?
- Oddaję ci suknię, za którą zapłaciłeś!
- Nie musisz.
- Muszę!

Suknia opadła, tworząc złotą kałużę wokół jej stóp. Logan wytrzeszczył oczy. Sally, ubrana w cienki stanik i figi, przestąpiła nad nią, po czym schyliwszy się, podniosła suknię z podłogi i wcisnęła mu ją do rąk.

- Bardzo dziękuję, panie Black. Doskonale spełniła swoje zadanie.

Otworzyła drzwi, a on stał jak osłupiały, nie będąc w stanie wykonać kroku. Pchnęła go lekko. Powoli wycofał się na zewnątrz, trzymając w dłoni lejącą się złotą krecję.

Ostatnią rzeczą, jaką Sally widziała, był wyraz smutku w jego oczach. Sekundę po tym, gdy zatrzasnęła drzwi, wybuchnęła szlochem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Leżała na łóżku wstrząsana płaczem. Jak mogła być taką idiotką i zakochać się bez pamięci w człowieku niezdolnym do odwzajemnienia uczuć?

Wczoraj w nocy dała mu wszystko. Byli z sobą tak blisko. Wierzyła, że łączy ich coś więcej niż pożądanie. Rozmawiali. Ona obnażyła przed nim swą duszę, a on wyleczył ją z jej lęków. Ależ była naiwna. Bolało ją, że Logan jej nie kocha. Interesowała go wyłącznie jako kompetentna recepcjonistka i sprawna instruktorka tańca, a nie jako kobieta.

Długo płakała. Najpierw nad sobą, nieszczęsną i upokorzoną, potem nad Chloe, która tak bardzo pragnęła, by jej chrześcianka odnalazła w Sydney radość życia, i wreszcie nad Hattie, która ostrzegała ją przed swoim wnukiem, a zarazem dała jej powód do nadziei.

Gardło, które już wcześniej jej dokuczało, teraz pulsowało z bólu. Leżała na łóżku w samej bieliźnie i chociaż dygotała z zimna, nie miała siły przykryć się kołdrą. Wreszcie łzy na twarzy wyschły. Zmęczona i zziębnięta usiadła. Ból rozsadzał jej czaszkę. Prawdę mówiąc, wszystko ją bolało. Przez moment była pewna, że z wymiotuje na podłogę. Włożywszy niebieskie kimono, poczłapała do łazienki, żeby umyć twarz.

Przeraziła się swojego odbicia w lustrze. Zmyła resztki rozmazanego tuszu, ale oczy miała spuchnięte, a twarz bladą, gdzieniegdzie pokrytą czerwonymi plamami. Włosy w nieładzie. Topazowe kolczyki migotały w świetle, jakby z niej drwiły. Przypomniała sobie, jaka była radosna, kiedy kilka godzin temu szykowała się do wyjścia. Niewiele brakowało, aby znów wybuchnęła płaczem.

Wróciwszy do sypialni, schowała kolczyki do szkatułki, następnie zdjęła medalion. Ciekawe, w jakich okolicznościach nosiła go Chloe; oby w szczęśliwszych.

Wsunęła się pod kołdrę. Choć różniła się od Chloe, starała się żyć jak ona. Dopiero kiedy się nieszczęśliwie zakochała, pojęła, że sekretem do szczęścia jest budowanie życia wspólnie z tym jednym wybranym człowiekiem. Ale Logan był tak skupiony na pracy, na dążeniu do celu, że nawet gdyby szczęście stanęło mu w poprzek drogi, toby je wymiął i poszedł dalej.

Niczym lew po klatce krążył niespokojnie po swoim podniebnym apartamencie. Jeśli ktoś zasłużył na tytuł kretyna roku i mistrza gaf, z pewnością to był on.

Jego wzrok padł na suknię, która wyglądała jak złota rzeka przecinająca czerwoną kanapę. A potem ujrzał dumnie wyprostowaną Sally w skąpej bieliźnie i z furią w oczach. Uśmiechnął się pod nosem. Ależ ta dziewczyna ma temperament! Pokręcił z podziwem głową. Była odważna, dobra, lojalna, wielkoduszna, mądra, seksowna. Mógłby tak ciągnąć bez końca.

Innymi słowy, ze świecą takiej szukać. A on ją odtrącił.

Spytała go: co zrobisz, jeśli zakochasz się przed upływem pięciu lat? A on z całą powagą odpowiedział: nie zakocham się. Idiota! Baran! Arogancki bezmyślny imbecyl, który najpierw flirtuje ze śliczną dziewczyną, igra z jej uczuciami, a potem ją rzuca.

Z własnymi uczuciami też igrał.

Nagle przypomniał sobie wyzwanie w oczach Sally: Nigdy ojcu nie wybaczyłeś. Zignorował wtedy jej słowa. Był zbyt spięty, aby się nad nimi głębiej zastanawiać. Ale może miała rację? Może od lat żywił nieświadomioną urazę do ojca? Może z jego powodu wystrzegał się trwałych związków? Podejrzewał, że Carissa zgodziłaby się z takim rozumowaniem. Matka również.

Matka wybaczyła mężowi, że naraził ją na trudy i nieprzyjemności. Wciąż go uwielbiała.

Logan poczuł bolesne ukłucie w sercu. Rodzice odbywają podróż po Australii. Dla jego matki życie zawsze było przygodą. Przymuszczalnie dla Sally również jest przygodą. Nie próbą wytrzymałości, nie ogromnym polem minowym, po którym trzeba chodzić ostrożnie, by nie nadzieć się na niewypał.

Przez okna wychodzące na wschód widział pierwsze różowe promienie poranka. Tak będzie przez pięć lat, pomyślał; samotnie będzie obserwował niebo o świcie i o zmierzchu. Pięć lat to, jak raczyła mu wytknąć Carissa, sześćdziesiąt miesięcy. Prawie dwa tysiące dni.

Dwa tysiące różowych wschodów i ognistych zachodów. Dwa tysiące czarnych nieprzeniknionych nocy, które spędzi bez Sally, realizując swój doskonały pięcioletni plan.

Odgłos pukania wdarł się w jej sen. Hm, pewnie powinna się obudzić. Otworzyła na próbę jedno oko i natychmiast uzmysłowiła sobie, że jest chora. W głowie jej łomotało, gardło miała rozpalone, ciało obolałe. Za kwiecistą zasłoną świeciło słońce, czyli był już dzień.

Ktoś pukał? A może jej się przyśniło? Nieważne, bo i tak nie zdołałaby zejść na dół.

Z trudem sięgnęła po szklankę na stoliku nocnym. Pociągnawszy łyk wody, przypomniała sobie, że Logan jej nie kocha. Wszystko sobie przypomniała: jego pięcioletni plan, własną wściekłość, upokorzenie, to, jak cisnęła w niego suknią, a potem zatrzęsła drzwiami. Gorące łzy spłynęły jej po policzkach. Opadła na poduszkę. Musi przestać myśleć o swoim szefie, inaczej nigdy nie wydobrzeje. Spać! Miała ochotę zasnąć i obudzić się po tygodniu.

Następnym razem, gdy się obudziła, w salonie dzwonił telefon. Patrząc na zasłonięte okno, uznała, że musi być późne popołudnie. W pierwszej chwili chciała zerwać się z łóżka i zbiec na dół, ale zakręciło się jej w głowie, więc jak niepyszna opadła z powrotem na poduszki.

Kto mógł dzwonić? Leżała, wsłuchując się w uporczywy terkot. Kiedy telefon ponownie zadzwonił, za oknem było ciemno. Sally wstała z łóżka, na drżących nogach doszła do łazienki po aspirynę, dołała wody do szklanki i znów zaległa w łóżku.

Podciągnęła kołdrę pod brodę, kiedy na stoliku nocnym zabrzączał telefon komórkowy.

- Halo?
- Sally, tu Anna. Co się dzieje? Twój głos brzmi okropnie.
- Jestem chora. Chyba mam grypę.
- Współczuję... Dzwonię spytać, czy nie wpadłabyś jutro na lunch.
- Nie dam rady się dowlec.
- Bidulka. Niczego nie potrzebujesz?
- Nie, zresztą nie mam apetytu. Nie przyjeżdżaj, bo zarażam.
- Prawdę mówiąc, wołałabym uchronić przed grypą Olivera.
- Słusznie. Nie przejmuj się mną. Dużo śpię...

- I dużo pij.

Sen ma jedną niezaprzeczalną korzyść, uznała Sally, ponownie zasypiając. Pozwala nie myśleć o Loganie.

Był to najbardziej frustrujący weekend w jego życiu. Sally przypuszczalnie wyjechała na dwa dni, zostawiając go, by cierpieć w samotności.

Poniedziałek był jeszcze gorszy. Po pierwsze, Sally nie stawiała się w pracy. Po drugie, wszyscy w Blackcorp albo widzieli w telewizji, jak on, Logan, tańczy z Dianą Devenish, albo słyszeli o jego występie. Gratulowali mu, zasypywali go pytaniami, szczególnie o rolę Sally jako instruktorki. Czuł się speszony, skrepowany.

Nie chciał, aby w biurze huczało od plotek.

Oczywiście wszyscy oczekiwali, że będzie wiedział, dlaczego Sally nie pojawiła się dziś w pracy. Nie wiedział. Ale zmartwiła go jej nieobecność.

Rozmawiał z Janet Keaton o konieczności znalezienia kogoś na miejsce Marii Paige, kiedy dowiedział się, że Sally jest chora. Taka ewentualność nawet nie przyszła mu do głowy. Nagle kołnierzyk u koszuli zaczął go uwierać, kropelki potu osiadły mu na czole. Naprawdę jest chora? Czy próbuje go unikać?

- A od kiedy...?

- Cały weekend leży z gorączką. Ma grypę.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Wczoraj i przedwczoraj wiele godzin spędził, wpatrując się w jej zasłonięte okna. A ona w tym czasie leżała chora?

- Myślałam, że wiesz. Byliście razem w piątek na balu?

- Tak. - Zmarszczył czoło. - Nic jej wtedy nie dolegało.

- Podobno uczyła cię tańczyć?

Skinął głową. Oczami wyobraźni zobaczył Sally leżącą w łóżku przez cały weekend, zbyt chorą, aby wstać i podejść do drzwi czy odebrać telefon. Wybiegł z gabinetu.

- Logan! - zawołała za nim Janet. - Poczekaj. Chciałam cię o coś spytać.

Wzdychając ze zniecierpliwieniem, przystanął.

- O co chodzi?

Z irytującym spokojem Janet dźwignęła się z fotela i skrzyżowawszy ręce na piersi, podeszła do niego.

- Czy słusznie mi się wydaje, że mój pomysł randki w ciemno okazał się strzałem w dziesiątkę?

- Randki w ciemno? O czym mówisz?

- O warsztatach, które zorganizowałam. Ciebie i Sally zestawiałam w parę.

Tyle się od tamtej pory wydarzyło! Ale faktycznie, w trakcie warsztatów po raz pierwszy z sobą rozmawiali. Właśnie wtedy powiedział Sally, że nie potrafi tańczyć.

Gdyby nie pomysł Janet, nie nastąpiłby dalszy ciąg. On, Logan, nie czyniłby sobie wyrzutów. Ale tak wiele by go ominęło. Janet przyjrzała mu się z powagą.

- Wiedziałaś, że do siebie pasujecie.

Żelazna obręcz wokół piersi utrudniała oddech.

- Skąd wiedziałaś?

- Z waszych testów psychologicznych. - Wzruszyła ramionami. - Sally to typ emocjonalnego ekstrawertyka, czyli osoba taktowna, przyjacielska, ale nieco zbyt wrażliwa. Ty zaś jesteś typem myślącego introwertyka, to znaczy, że kierujesz się rozumem, jesteś dobrze zorganizowany, lecz nie ufasz swojej intuicji.

Potrząsnął głową.

- Jaki mają sens takie testy? O czym świadczą?

- Że ty i Sally idealnie się dopełniacie.

Słowa Janet poprawiły mu humor. Uśmiechnął się szeroko. Po chwili odchrząknął speszony.

- No dobrze. Jest parę innych spraw, które musimy omówić. Ale zostawmy je na później.

Nie czekając na reakcję Janet, odwrócił się na pięcie i oddalił pośpiesznie.

Z kuchni dobiegły ją dźwięki: odgłos kroków na kamiennej posadzce, skrzypienie drzwiczek od szafki, jakiś podejrzany łomot. Poderwała się na łóżku, zakryła kołdrą po nos. Dziś rano czuła się znacznie lepiej; wzięła kąpiel, umyła głowę, zmieniła pościel. Ale wciąż była za słaba, żeby walczyć z włamywaczem.

- Kto tam? - zawołała tak cicho, że nikt jej nie usłyszał. A potem uznała, że jeśli nie będzie czynić żadnego hałasu, to może włamywacz zabierze, co zechce, i sobie pójdzie.

Nie, nie zamierzał wyjść. Kroki rozległy się na schodach. Włamywacz szedł na górę. Ratunku!

Sally rozejrzała się nerwowo po sypialni, zastanawiając się, co jej może posłużyć za broń. Chciała się zapisać na kurs samoobrony, ale jeszcze nie zdążyła. Zalała ją fala wspomnień: Kyle Francis, silne dłonie, które ją przytrzymują, ohydne męskie ciało, które się na nią rzuca... Co ma zrobić? Gdzie się ukryć?

- Sally, nie bój się. To ja.

Rozpoznała głos Logana.

To naprawdę on? Czy to możliwe? Zaskoczona, nie odpowiedziała. Podniosła rękę do włosów. Boże, wygląda strasznie! Nie może mu się taka pokazać.

Za późno. Stał już w drzwiach. Mimo że rozstali się w gniewie, oczy rozbłyły jej z radości. Po chwili jednak przyszło opamiętanie i poczuła w sercu tępy ból.

Logan ubrany był w ciemny garnitur, ale na rękawach i nogawkach widniały jakieś białe smugi. Koszulę miał rozpiętą, krawat przekrzywiony pod zawadiackim kątem. Bardziej niż biznesmena przypominał gwiazdora filmowego. Bardzo zatroskanego gwiazdora.

- Cześć - powiedział, uśmiechając się nieśmiało. Co się mówi do kochanka, którego trzy dni temu wywaliło się za drzwi?

- Jak się tu dostałeś?

- Przelazłem przez mur na tyłach domu.

Teraz już wiedziała, skąd się wzięły białe smugi na jego ubraniu. Ale dlaczego zadał sobie tyle trudu?

- A co tu robisz?

Zignorował jej pytanie.

- Jak się czujesz?

- Świetnie - odparła.

Zmarszczył groźnie czoło.

- Nie kłam.

- Żyję.

- Jesteś potwornie błada.

- Nic dziwnego. Przy grypie... Dlaczego nie jesteś w pracy?

- Usłyszałem, że jesteś chora. Musiałem przyjechać.

Musiał? Łzy napłynęły jej do oczu. Miała nadzieję, że się nie rozplacze.

- Pewnie wszyscy o nas plotkują?

- Niech plotkują. - Odkleił się od futryny i wszedł do pokoju.

Zatrzymał się przy samym łóżku.

- Zarazisz się - ostrzegła.

Ponownie ignorując jej słowa, przysiadł na skraju materaca i pochyliwszy się, przytknął dłoń do jej czoła. Sally wzdrygnęła się. Speszony cofnął rękę.

- Jadłaś coś?

- Niewiele. - Wczoraj, powłócząc nogami, zeszła do kuchni; znalazła paczkę krakersów i dwulitrowy karton soku pomarańczowego. - Nie byłam głodna.

- Przyniosłem ci rosół. Zaraz się podgrzeje.

Rosół? Nic z tego nie rozumiała. Logan wyrzucił ją ze swojego życia, ona wyrzuciła go ze swojego domu, a teraz krząta się wokół niej jak troskliwa niańka?

- To miło z twojej strony.

- Nie ruszaj się stąd. Zaraz wrócę.

Zbiegł po schodach. Po chwili dobiegł ją z kuchni brzęk talerzy, odgłos przesuwanych garnków. Serce zabiło Sally mocniej; ogarnęło ją niewytłumaczalne uczucie szczęścia. Mówiła sobie, że to bez sensu. Logan nie przyjechał, żeby ją uszczęśliwić. Przyjechał, by się u niej porządzić. Jednak miło było go widzieć.

Tak jak obiecał, wrócił migiem, niosąc drewnianą tacę z dużą miską zupy, łyżką i różową bawełnianą serwetką. Postawił tacę na toalecie i ponownie podszedł do łóżka.

- Poprawię ci poduszki, żebyś mogła usiąść wygodnie.

Na pewno z powodu grypy była w tak płaczliwym nastroju. Postanowiła być silna, pohamować łzy. Kiedy Logan sięgnął po tacę, szybko otarła oczy.

- A teraz... - przysiadłszy na łóżku, przysunął łyżkę do jej ust - skosztuj.

- Nie musisz mnie karmić! - sprzeciwiła się.

Ale wiedziała, że ręce jej drżą i gdyby sama próbowała jeść, wszystko by porozlewała.

Rosół był pyszny, niezwykle pożywny. Sally jadła, a Logan cierpliwie, z czułym uśmiechem, raz po raz zanurzał łyżkę w misce.

- Jest wyśmienity - pochwaliła Sally. - W ogóle nie przypomina zupy z puszki.
- Może dlatego, że nie pochodzi z puszki.
- Twoja gospoia go ugotowała?
- Nie, obudziłem Michaela.
- Swojego przyjaciela kucharza? Och, Logan, nie powinieneś był.
- Czas najwyższy, żeby wstał.
- Przecież facet pracuje do późna w nocy.
- Kiedy wyjaśniłem, że chodzi o ciebie, natychmiast się ocknął. Nie ruszając się z łóżka, udzielił mi instrukcji.

- Czyli sam to ugotowałeś?

Wzruszył ramionami, jakby nic wielkiego się nie stało, ale widać było, że jest bardzo dumny ze swoich talentów kulinarnych.

Sally nie rozumiała, co Loganem kieruje. Kiedyś powiedział, że nie uznaje romantycznych gestów, ale czy nie zdawał sobie sprawy, że troska i dobroć są bardziej wzruszające od najpiękniejszego bukietu róż?

Łzy znów podeszły jej do gardła. Powstrzymując je, opróżniła do końca miskę.

- Zostało jeszcze mnóstwo - rzekł, odstawiając tacę.
- Więcej nie dam rady, ale dziękuję, spisałeś się znakomicie. I podziękuj ode mnie Michaelowi.

Ujął ją za rękę. W pierwszym odruchu chciała je zabrać, ale powstrzymał ją wyraz oczu Logana.

- Michael był niesamowicie przejęty zupą.
- Dlaczego?
- Wiesz, jaki on jest. Kiedy powiedziałem, że chcę ci ją zawieźć, bo leżysz chora, natychmiast zaczął planować, co przygotuje na mój ślub.
- Dziwne - szepnęła, zaciskając powieki.
- Tak sądzisz? Moim zdaniem, to romantyczne.

- Przynajmniej będzie miał mnóstwo czasu na dopracowanie menu. Bo chyba wie, że ślub nastąpi dopiero za pięć lat?

- Może wcześniej.

Czyżby się przesłyszała? Bojąc się otworzyć oczy, oparła się o poduszki. W głowie miała straszliwy mętlik. Dlaczego Logan opowiada jej o ślubach i kucharzu, który wcale nie musi czekać tak długo...

- Sally, popatrz na mnie.

Nie mogła. Jeśli uniesie powieki, łzy trysną jej z oczu. Nie przeżyje kolejnego upokorzenia.

- Kochanie...

Kochanie? Nie wytrzymała.

Uśmiechając się nieporadnie, Logan przełknął ślinę.

- Otóż pod wpływem pewnej mądrej osoby postanowiłem wyrzucić swój pięcioletni plan do kosza.

- Pod wpływem...

- Ta osoba uzmysłowiła mi kilka istotnych faktów.

- O czym ty mówisz? I o kim?

- O tobie, Sally. Uświadomiłaś mi, że zachowuję się jak struś. Wsadzam głowę w piasek, aby uniknąć prawdy.

- Prawdy?

- Tak. Że ty jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem i nie wyobrażam sobie dalszego życia bez ciebie.

Nagle ból w jej sercu ustąpił.

- Powinienem był ci to powiedzieć w piątek po balu - ciągnął Logan. - Ale nadałem się i stchórzyłem.

- A ja cię wywaliłam za drzwi.

- Zasłużyłem na to. Uważałem, że jestem z tobą szczery. Że cię chronię. Ale kiedy znalazłem się na ulicy, zrozumiałem, że mogę cię stracić, a tego bym nie zniósł.

Pamiętała w jego oczach wyraz smutku.

- To była najgorsza noc w moim życiu.

- W moim też - przyznała.

- Przyszedłem do ciebie nazajutrz z samego rana. Stukałem do drzwi. Telefonowałem. Niezliczoną ilość razy przejeżdżałem koło twojego domu. Nie widziałem w nim śladu życia. Uznałem, że wybyłaś na weekend. Wystraszyłem się, kiedy nie pojawiłaś się dziś w pracy. Byłem pewien, że cię straciłem.

- Och, biedaku. - Opuszką palca pogładziła go po twarzy. - Nie miej tak smutnej miny.

Zgarnął ją w ramiona i pocałował czule.

- Obym cię nie zaraziła...

- A będziesz mnie kurować?

- Z przyjemnością.

Słyszając to, pocałował ją po raz drugi. I kolejny...

TTLR

EPILOG

W białej koszuli z podwiniętymi rękawami i długim fartuchu zawiązanym luźno w pasie stał przy kuchence, mieszając sos miętowy. Polubił gotowanie.

Na zewnątrz zimny wiatr dudnił w okna. Oby tylko zapowiadany przez meteorologów deszcz nie spadł, dopóki nie zjawią się zaproszeni goście: Hattie, Carissa z Geoffem oraz brat Sally, Steve, z żoną.

Wszystko było gotowe. Sally nakryła do stołu. Dzięki kwiatom i świecom w jadalni panował czarowny nastrój. W kuchni zaś unosił się zapach pieczonej jagnięciny i ziemniaków. Logan był zadowolony, że postanowili zamieszkać w domku Sally zamiast w jego apartamencie. Ostatnie pół roku krążyli między jednym a drugim miejscem, co na początku ich bawiło, ale potem stało się uciążliwe. Apartament wynajęli za zawrotną sumę.

Wszystko układało się znakomicie. Firma prosperowała, mimo że zrezygnował z planu pięcioletniego. Próbował namówić Sally, by została w Blackcorp, może w roli jego osobistej sekretarki, ale się nie zgodziła i zatrudniła się w ulubionej galerii Chloe. Dalej interesowała się jego biznesem, ale spotykali się w domu i w łóżku, a nie w firmie.

Życie z Sally było, tak jak przewidywał, cudowną przygodą.

- O nie! Ściągaj fartuch! Za seksownie w nim wyglądasz.

Na dźwięk jej głosu Logan się obrócił. Miała na sobie beżową bluzkę z jedwabiu i czarne aksamitne spodnie.

- A ty... mógłbym cię schrupać!

- Narzeczone nie figurują w menu. - Pomachała lewą ręką, na której połyskiwał pierścionek z brylantem. - Na dziś przewidziana jest jagnięcina, a na deser gruszki z serem mascarpone.

- A nie mógłbym cię zjeść na przystawkę?

- Mógłbyś.

Śmiejąc się wesoło, podeszła do Logana i zarzucili mu ręce na szyję. Jęknął. Nie, chyba to nie jest najlepszy pomysł. Jeszcze chwila, a nie będzie w stanie powitać gości.

- Mam nadzieję, że nie zostaną zbyt długo - szepnęła. - Chcę im powiedzieć o ślubie, ale potem resztę wieczoru i noc chcę spędzić tylko z tobą.

Logan przytulił Sally z całej siły.

Dwa dni temu ta wspaniała kobieta przyjęła jego oświadczenia. Teraz słysząc dźwięk dzwonka u drzwi, z trudem oderwał usta od jej warg.



TLR